MYŚL NARODOWA

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VII. Nr 22 WARSZAWA, 15 PAŹDZIERNIKA 1927 R. CENA NUMERU 1 zł.

PSEUDO-ROMANTYZM

PRZED szesnastu laty, mając przed oczyma w b. Galicji ruch umysłowy, wywołany austrjackiemi nastrojami przedwojennemi, pisałem: „Gdy patrzę na ten niezdrowy kult poetów — obok braku właściwego entuzjazmu dla sztuki, gdy widzę poszukiwanie w mistrzach mesjaszów, a w dziełach — zakonu, ogarnia mnie strach, czy nie jesteśmy na drodze, która nas doprowadzi do sekty, zamiast do państwa swojego". „Czy oskarżać o to romantyzm? — pisałem dalej — Jako żywo! Chorzy jesteśmy na idiosynkrazję rzeczywistości. Boimy się patrzeć w obecność i przyszłość". Szczególnie ten brak potrzeby odczuwania rzeczywistości uderzał wówczas u socjalistów. Cóż dziwnego, że poezja romantyczna władała inteligencją wtedy, gdy ta gorzała uczuciami narodowemi. „Teraz— pisałem—istnieje wielki obóz, bynajmniej nie hołdujący ideom narodowym—socjaliści, a w tym obozie, wyznającym zasady kosmopolityczne, a pełnym przekąsu, gdy chodzi o ideę narodową, istnieje taka sama maniera posługiwania się poezją, jak wśród inteligencji narodowej. Między obozem narodowym a socjalnym wytworzyła się emulacja o posiadanie poetów narodowych. Wynikły stąd śmieszne, ale bardzo znamienne zabiegi publicystów i krytyków, polegające na wyrywaniu sobie poetów i szkół poetyckich" [1]).

Należy sobie przypomnieć z tych czasów parę faktów, których obecnie przy rozwiązywaniu zagadek nie bierzemy w rachubę: Pepinjerą przedwojennej w zaborze rosyjskim rewolucji, a potem ruchu „niepodległościowego" z tak wybitnym charakterem symbolizmu, NKN-u, legjonów, dzisiejszej sanacji —była Galicja, wówczas kociołek polityki austrjackiej na użytek przyszłej wojny. Otóż, gdy mowa o dzisiejszym warszawskim pseudo-romantyzmie, trzeba przypomnieć, że socjaliści polscy przyjęli chrzest romantyzmu poetyckiego nie tak dawno, że udzielał go Feldman w „Krytyce" krakowskiej i że przyśpieszony był koniecznością propagandy haseł „niepodległości". Austrja nie miała interesu iść na wschód pod sztandarem przewrotu socjalnego. Jedyną siłą, na którą mogła liczyć, były ukryte w narodzie polskim aspiracje. One to w ostatecznym wyniku wciągnęły socjalistów w robotę narodową. Polityka partji socjalistycznej, szukająca w Austrji oparcia dla swych planów przewrotowych, ani się spostrzegła, kiedy jej duszę marxowską jakaś siła przeobraziła w szwoleżerską. Ten zaczyn patrjotyczny w duszy socjalistycznej przybrał postać pseudo-romantyzmu. Był to sztuczny objaw psychologiczny, ale potem już umyślnie podtrzymywany. Jakby ze wstydu, że się dano porwać patrjotyzmowi, wmówiono mu inne znaczenie, niż to, które mu nadaje Polska burżuazyjna. Będzie to patrjotyzm tylko symboliczny, wyrażający się w praktyce robotą na opak i na przekór. Dostali się w prąd, więc przynajmniej będą go kwestjonować i borykać się z nim.

Wiele się zmieniło w psychice polskiej inteligencji od czasu, gdy pisałem przytoczone na początku słowa. Owo romantyzowanie sztuczne patrjotyzmu przez odwracanie go od myśli realnej o niepodległości (przez zjednoczenie), tak charakterystyczne dla ówczesnej Galicji, po wojnie rychło ustąpiło. Widzimy to po młodzieży, wstępującej obecnie w życie, widzimy po ludziach nawet starszego pokolenia, którzy Polskę odbudowują, że dusza polska wogóle rada jest rzeczywistości, że ją pragnie zasilać swoją pracą i otuchą, aby w zgodzie z historją oraz instynktami mas utrwaliło się i zakwitło państwo narodowe. Wyjątek stanowią właśnie owe sfery socjal-patrjotyczne, które się okazują dzisiaj w Polsce najbardziej w sposobie myślenia zacofane. Przechodzą one dopiero w 20-m stuleciu kurs romantyki, nie dając jednak swej postawie tej treści uczuciowej i moralnej, która właściwych romantyków ożywiała. Dla historyka naszych czasów ciekawem zagadnieniem będzie analiza związku chemicznego,

[1]) „Myśl Przebudowy". Warsz. (1912), str. 98.

który w tych duszach się wywiązał z połączenia dwu pierwiastków: socjalistycznego i romantyczno-literackiego.

Z socjalistycznego sposobu wzięły one za punkt wyjścia wszystkich poczynań umysłowych doktrynę, wyłączającą wszelkie rozumowanie i potrzebę doświadczeń. Jak widzimy, doświadczenia (choćby rosyjskie) niczego tych umysłów nie uczą. Z działaniem łączą doktrynę hasła, nie podlegające również rozumowaniu. Na tej równi pochyłej bezwładu duchowego nie ma miejsca na zastrzeżenia moralne. Zasada „cel uświęca środki", romantycznie brzmiąca w trybie działania rewolucyjnego, związała się z romantycznem hasłem: „mierz siły na zamiary".

Nie jest taki związek nowością. Dawne poetyckie historje o zbójnikach, opromieniające nimbem poezji czyny niezgodne z etyką, są dowodem, że taki związek jest możliwy. Poczucie moralne ludu uświęcało użyte przez zbójników środki szlachetnym celem społecznym. Nasi bohaterzy są staroświeccy dlatego, że nie widzą możności czynienia dobra społecznego w zgodzie z warunkami państwa cywilizowanego. Wytwarzają sobie góry i ciemne gąszcza boru, aby działalność była romantycznie tajemnicza i groźna. Potrzebne są ich duszy przygody, hazard, popisy junakerji — a z drugiej strony konspiracja, atmosfera podstępu i udawania w razie potrzeby tak dobrze obłędu, jak i rozumu stanu.

To połączenie romantycznej postawy wobec życia z socjalistyczną o życiu doktryną ma za rezultat psychiczny zupełne wyłączenie z pola widzeń — rzeczywistości dziejowej, do której należy przedewszystkiem dusza narodu. Dobrzy Polacy, których pewno nie brak między socjalistami, duszą się w suchem, talmudycznem wyznaniu marxowskiem. Doktryna nie pozwala im wejść w to życie tak, żeby ono odżywiło ich psychikę, biorą więc z literatury ów uczuciowy ekwiwalent, wyrażający się nieraz w sposób rewolucyjny w poezji romantycznej. Nie przebywając wzruszeń poety-romantyka, przyszli do gotowych symbolów, które są rzeczą równie oderwaną, jak doktryna.

Przypomnijmy sobie, co tego typu ludzie wyprawiali w czasie wojny z pojęciem niepodległości. Kiedy jak kiedy, ale w chwili, gdy krew trzeba lać za niepodległość, zdawałoby się, odezwie się instynkt życia, z którego to hasło wypływa. Bynajmniej. Spierano się tam o to, czy nie chodzi jedynie o symbol. Niechajby niepodległość nad jedną kamienicą — tak się mówiło; chodzili zaś od Krakowa mesjaniści, którzy uczyli, że i wojsko — to tylko symbol, bo przecież wiadomo (Towiański), że wroga obalić można odpowiedniem napięciem ducha.

Rodowód tego szczególnego patrjotyzmu sięga okresu wyrodnienia romantyzmu. Że stamtąd ta maniera myślenia pochodzi, mamy dowód w tem, że ma ona zastosowanie tylko do tego przedmiotu, który był głównem zagadnieniem wieszczów mesjanistów — mianowicie do narodu. We wszystkich innych kierunkach socjal-patrjoci wykazują wiele trzeźwości czy w życiu osobistem, czy w nauce, czy nawet w sztuce. Potrafią myśleć i widzieć realnie. Niechże jednak znajdzie się przed nimi zagadnienie narodu, wtedy następuje improwizacja na motywach symbolu i doktryny bez żadnego względu na żywą rzeczywistość. Wtedy dopiero okazuje się ich zewnętrzny do narodu stosunek.

Bardzo interesujące jest owo połączenie dwu pierwiastków w praktyce życiowej. Demokratyzm socjalny wymaga równości. Ale romantyczny kult jednostki wprowadza do tej zasady poprawkę: równość wszystkich wobec jednostki, która jest wszystkiem. Żeby ta jednostka mogła być wszystkiem, ogół musi być niczem, chyba ktoś z jej mandatu czemś. Nic zawsze jest sobie równe. Ludzie, zupełnie od prawdy przedmiotowej oderwani, jedyny mają ratunek w oparciu o jednostkę — ona jest dla nich jedyną postacią rzeczywistości.

Duchy, obrane z możności twórczej, bo odwrócone od logiki życia i z nią skłócone, wyobrażają sobie twórczość mechanicznie, jako szereg luźnych czynów. Z fetyszów symboliczno-werbalnych pseudoromantyzmu bodaj najbardziej charakterystyczny jest ten „Czyn" (przez duże C), pojmowany najczęściej mechanicznie i sportowo, jako przewaga siły. Pokonanie— to zwycięstwo, wszystko jedno, czy burżuazja nazwie je zwycięstwem zła czy dobra. Chodzi o walkę. Walczyło się z caratem, ale to tylko był etap. W wolnej Polsce walczyć trzeba z presją idei narodowej, walczyć z własnem społeczeństwem.

Pseudo-romantyczna postawa w połączeniu z systemem haseł i symbolów wytwarza jakiś proceder bojowy, nie przedstawiający nic twórczego, bo twórczość to właśnie treść, wyjawiająca się w kształtach. Nie podobna tego rzemiosła uznać też za stronnictwo, bo ono musi mieć program. Nie jest to myśl, jeno dyspozycja psychiczna, raczej niedyspozycja, bo uniemożliwiająca jakąkolwiek działalność odpowiedzialną.

Mamy do czynienia z przejawami tej niedyspozycji choćby tylko w prasie. Ludzie normalni, czytając dzienniki „sanacyjne", podziwiają, skąd im się bierze tyle pomysłowości i energji w kłamaniu. W stosunku do normy, uznanej w społeczeństwie cywilizowanem za prawdę, wszystko tam jest kłamstwem, poczynając od tytułu pisma. Autorzy nie wstydzą się bynajmniej tych kłamstw. Jest to ich poezja pseudo-romantyczna, radosna twórczość.

Dzienniki sanacyjne napozór traktują o tem samem, co narodowe, a więc o Polsce, głoszą jej naprawę, używają słów z patrjotycznego słownika, a jednak wszystko jest na opak i budzić musi najgłębszy protest w duszy dobrego Polaka. Dlaczego? Wynika to z owej właśnie kombinacji wywrotu socjalistycznego z hasłem patrjotycznym budowy. Powstał stąd chaos w duszy, kalejdoskopowo układający się z czasem w jakieś symetryczne obrazy, ale zupełnie nieodpowiadające rzeczywistości psychicznej społeczeństwa cywilizowanego.

Albo wywrót — albo budowa. Cokolwiekby jednak się robiło, trzeba własną duszę na jakiś typ zorganizować. Ta zaś dusza jest zjawiskiem patologicznem. Łatwo zrozumieć przyczynę ciągłych sprzeczności w „ideologji" tej prasy: skrajny demokratyzm łączy się tam jakoś z absolutyzmem władzy, monarchizm z republikanizmem, pacyfizm z militaryzmem. W planach działań jednoczy się tam obywateli najrozmaitszych przekonań, walczących między sobą o djametralnie odmienne interesy. Oczywiście, skoro w chwili tak krytycznej, jak wojna, interesy narodu przedstawiały się tym umysłom tylko symbolicznie, to tembardziej teraz, gdy się Polskę odzyskało, żaden skrupuł rzeczowy nie stoi na przeszkodzie w rozdawaniu Polski według doktryny socjalistycznej; zawszeć bowiem zostanie jej tyle, że starczy na symbol.

Psychika, zbudowana na nałogu mechanicznego traktowania rzeczywistości, nie zdaje sobie sprawy, że życie narodu jest zjawiskiem organicznem i że nic w niem nie daje się wywracać lub krajać bez wywracania i szarpania duszy narodu. Polityka należy do dziedziny moralnej życia i ma swoje prawo ciążenia do głębin serca. Cywilizacja wszystkie funkcje życia społecznego zorganizowała przez wieki w jedną całość z prawem, moralnością i z religją. Na poczucie rzeczywistości, które jest warunkiem myślenia o polityce, składa się nie tylko znajomość mapy kraju, statystyki i ugrupowań, lecz posłuch na tętno tego wnętrza moralnego. Z „sanatorem" przykro jest dyskutować o polityce, bo nie można się z nim rozmówić wprzód o elementarnej moralności. On jest mechaniczny i brak mu wymiaru moralnego. Dla tego to takich okropnych rzeczy musimy wysłuchiwać w tych dziennikach, rzeczy wprost niewiarogodnych w czasach wysokiej kultury moralnej.

Czyż trzeba dodawać, że tego rodzaju życie psychiczne wytwarza koło siebie atmosferę wymarzoną dla wszelkiego rodzaju łotrzyków: jednostka w tym stanie nie może odpowiadać za to, czyim narzędziem się staje. Na to też trzeba poczucia rzeczywistości. Postawa pseudoromantyczna „radosnej twórczości", której zależy tylko na „Czynie" bez względu na treść i etykę, jest naczyniem, które każdy napełnić może swoją treścią. Prasa sanacyjna, mająca jedną tylko dyrektywę nieliczenia się z opinją publiczną, która jest narodowa, przyjąć wszakże powinna do wiadomości jedno: co wogóle ogół myśli o jej dobrej wierze. Powyższa analiza psychologiczna jest optymistyczna, bo opiera się na założeniu dobrej wiary. Ale trzeba przyznać, że fakty wyglądają bardzo dwuznacznie, równie dobrze mogą być wytłumaczone złą wiarą. Przy tym stanie psychiki, charakteryzującej się niepoczytalnością moralną, łatwo o szaleństwa z metodą, już bez żadnej wykładni interesu narodowego.

Jedno jest pewnem, że tajna organizacja masońska, kierowana przez bardzo praktycznych psychologów i psychjatrów, zawdzięcza pseudo-romantyzmowi znakomity połów. Wymarzony to materjał. Ona już nie pozwoli tej generacji wejść w rzeczywistość polską; ona też jedna tylko będzie rozumiała deseń, w który się układają nieświadome dla wykonawców odruchy.

Nie będę rozszerzał tej charakterystyki na inne dziedziny życia, a byłby już czas przyjrzeć się, jak wygląda ten pseudo-romantyzm w obyczajach pracy, w literaturze, w sztuce, zwłaszcza w teatrze. Wymienię tylko jedno nazwisko: Żeromski. W świetle powyższych uwag będziemy rozumieli jego „Różę" i to, dlaczego tak nabożnie ją wystawiano w teatrze. Są to wieszczenia w duchu pseudo-romantycznym naszych czasów wyjaśniające przemianę socjalizmu na ów typ nowy zwycięzców sanacyjnych. Czarowic (bohater „Róży") na zebraniu proletarjatu kaja się z grzechów socjalizmu, który dotąd liczył na walkę klas:

> „Byłem grzeszny przed wami, podbudzając was zgłodzonych, bezbronnych do boju... Teraz już do boju nie wystąpicie bez pewności zwycięstwa. Do boju za was wszystkich wystąpię ja sam i tacy, jak ja. Wojnę wydam wrogowi i sprzymierzeńcowi wroga w ojczyźnie. Nie wydamy wojny bez pewności zwycięstwa. Ażeby posiąść pewność zwycięstwa, trzeba posiąść broń, środki i sposoby do walki... Trzeba wykuć w pracowni bogów strzałę zatrutą... Wyrzeczemy się dla was wszystkiego, zwleczemy szaty aż do ostatniej koszuli. Będziemy, samozwańcy, łamać za dnia berło przemocy, czegoście wy nie zdołali złamać. Czego nie dokaże więc głos, dokaże siła. Przetniemy wrzody, zbierające na ciele narodowem od czasu Sasów, żeby nareszcie wyszła z nich zgniłość. Ozdrowieje ciało polskie".

Słuchając tej tyrady, nie bardzo rozumieliśmy, o co chodzi; tymczasem jest to dokument, w jaki sposób tłumaczono proletarjatowi już w czasie rewolucji 1905 r. sens swojej roboty „burżuazyjnej", bo pod sztandarem narodowym. Załatwimy się z zaborcą, a potem weźmiemy się do swego narodu, aby wyręczyć w walce proletarjat. Miało to się zrobić pod hasłem „sanacji". „Róża" jest sztuką teatralną reprezentacyjną obozu, wykwitem ducha pseudo-romantyzmu. Za nią dla celów propagandy dostał się do teatru cały szereg dzieł z motywem jawnej lub krytej rewolucji.

Wracając do przejawów pseudo-romantyzmu w życiu politycznem, trudno do „Róży" nie nawiązać dzisiejszej sytuacji w łonie obozu sanacyjnego. „Zwycięstwo" jest, ale przecież miało być dla proletarjatu. Gdzież skalp burżuazji? Zwycięzcy owszem bałamucą się z nią — demokraci z arystokracją! Wywalczone prawa ludu idą wraz z Sejmem do lamusa. Socjaliści więc żądają rozwodu i już się separują.

Dziwna jest ta cała pseudo-romantyczna historja. To trzeba jej przyznać, że jest oryginalnie polska. Gdyby rozwód Sanacji z Socjalizmem był istotny i gdyby nie był tylko czasową separacją przedwyborczą, to niewątpliwie byłaby to auto-sanacja. Kompromitująca kulturę polityczną narodu choroba pseudoromantyzmu szybciejby ustąpiła.

ZYGMUNT WASILEWSKI

PRZEWIETRZENIE KULTURY

JAK wodorost każdego stałego przedmiotu w wodzie, tak się czepia snobizm każdej pojawiającej się idei: teraz czepił się idei pracy, względnie — w negatywnem ujęciu — idei odpoczynku. Wstyd temu, ktoby dziś śmiał mówić o odpoczynku. Nie dlatego, aby ludzie nie mieli ochoty do słodkiego nieróbstwa, ba, tam właśnie, gdzie się o pracy mówi z pobożnem wzniesieniem oczu, tam bodajże najwięcej chętki do zminimalizowania jej; ale dlatego, że snobizm, jak zwykle, tak i tu niema ni siły ni skłonności do przedarcia patetycznej przędzy słów i spojrzenia na sprawę okiem zdrowego rozsądku, który w danym wypadku, przyzna bez żenady i poprostu, że w życiu człowieka odpoczynek nie jest mniej ważny, niż praca.

Idzie tu o to, że wcale nie jest bez społeczno-kulturalnej wagi kwestja porządnej organizacji odpoczynku. Jakiej ludziom treści dostarczyć będziemy usiłowali na ich dni i godziny odpoczywania — oto pytanie, którego ominąć nie może nikt, mający ambicję prawdziwie władczą urządzenia na nowo, uzdrowienia i upiększenia życia społecznego. O ten punkt zaczepiam, aby w błysku troski o kulturę w społeczeństwie demokratycznem ukazać pewną manierę, która grasować poczyna u części t. zw. inteligentów, manierę, w której ideowe pokrewieństwa, czy powinowactwa niezbyt zresztą trudno wyśledzić, a która polega na tem, że się ośmiesza podziw dla przyrody, podziw bezinteresowny, czysto kontemplacyjny[1]). Jeżeli polemizuję z tą manierą, to oczywiście nie w obronie przyrody jako takiej, bo wiem, że nie będzie nas, a będzie las—ale w obronie naszego kontemplacyjnego do przyrody stosunku, stosunku, który uważam za integralny czynnik kultury, czynnik na którego rozwoju zwłaszcza w demokratycznem społeczeństwie zależeć powinno. Twierdzeniem mojem jest, że przesiąknięcie psychiki mas miłością dla przyrody jest jednym z tych głównych momentów kulturalnie zachowawczych, bez których ustrój demokratyczny jest narażony na ciągłe wrzenie i wstrząsy.

Znamienną cechą naszej współczesnej urbanistycznej kultury jest brak samoistności duchowej u niezliczonych jednostek. Dusze nie czują się na siłach stać same, bez zewnętrznych podpórek. Człowiekowi takiemu świat przez to samo niewiele jest wart, że to on, tylko on, patrzy nań i widzi; wzrok tego człowieka jest wzrokiem martwca, który wysysa życie z rzeczy. Wzrokami innych musi napełnić się jego pole widzenia, aby mu świat widziany stał się coś warty. I to jest istota może pospolitości, czyli pokory stadnej: człowiek czuje się tu poniżej źródeł wartości, nie wierzy, aby to, co do niego się odnosi mogło być tem samem coś warte — ale to nie jest pokora ascetyczna, przy której człowiek, miażdżony przez wartości zewnętrzne, nieustępliwie pozostaje w sobie i nieustępliwie wyżywa tajemnicę swych własnych możliwości; to jest pokora tchórzliwa i nijaka przy której człowiek dezerteruje z siebie, możliwośc i swe pozostawia nietkniętym ugorem i ucieka panicznie w ciżbę na rynki i place zborne, w świat pokryty cudzemi oczami, w atmosferę przez to właśnie ciepłą, przyjemną, wartościową, że ogniskiem jej jest ktoinny, nie on sam. Współczesny człowiek miejski, od dzieciństwa chowany w hurtownych składach ludzi, nie wierzy, aby w samotni, w której jest on—był ktoś. Dlatego demokracja—zbudowana na podłożu, mającym typowo stadny lęk przed samoistnością, — będzie zawsze sama siebie gryzła i zżerała. Bo człowiek, który nie zdoła być samotnym, zawsze zadowoleń, przyjemności, rozrywek będzie szukał, swoje godziny odpoczynku będzie spędzał tylko — w tłumie.

Ale tłumowi świat staje się coraz bezwartościowszy, coraz bardziej wyschły, przestarzały, zbrzydły; i to *ex definitione*, skoro tłum jest zbiorem osobników, którzy się ulękły samotności, bo nie mają poczucia swej wartości osobistej, nie czują się źródliskami życia, które spływa wartościująco na otoczenie. Przy naturalnem i nieusuwalnem poszarzaniu się treści zabawy, skądże przeto w tłumie spodziewać się nowego wylewu wartościowań? Zaczem nastąpić musi zużycie się, nuda i zbiorowe poczucie pustki odswojenia się atmosfery (poczucie stokroć dolegliwsze i groźniejsze w grupie, niż to samo u samotnego) — i oto potrzeba coraz nowych zastrzyków wrażeniami i emocjami, płynącemi od świata zewnętrznego, świata wytworów materjalnych i upojeń czysto cielesnych. Tłum więc jest chciwy i niezaspokojony żadnym stopniem dobrobytu materjalnego. Demokracja, która sobie jako jednego z celów pierwszorzędnych nie postawi wychowania jaknajliczniejszych jednostek do duchowej samoistności, zawsze działać będzie na gruncie podminowanym. Nigdy w ustroju demokratycznym nie będzie dostatecznej do uciszenia mas ilości rzeczy, jeśli ustrój ten nie wychowa sobie człowieka zdolnego do samotności, czyli zdolnego czerpać zadowolenia swe poza gwarem ciżby, a zatem poza kręgami dobrobytu materjalnego.[2])

Z pewnością, gdy idzie o czynniki przygotowania do znoszenia samotności, to przedewszystkiem mieć się musi na uwadze wiarę religijną oraz ideały etyczne „mędrca“, „pana“ „bojownika“ i t. p.; możnaby też zauważyć, że przydałaby się jakaś askeza, nie mająca nic wspólnego z kontemplacją przyrody: samotność miejsc zamkniętych, więzień, jest samotnością naistotniejszą i najstraszniejszą; ale nie potykajmy się na możliwych zarzutach bez znaczenia praktycznego: najważniejszym faktycznie — poza wspomnianemi dopieroco — czynnikiem wyrabiania się samostarczalności duchowej człowieka jest współżycie ze światem przyrody. Zresztą właśnie na gruncie religijnym wytworzyły się miejsca cudownie harmonizujące zamiary kultu i askezy z kontemplacją piękna przyrody. (Zwracam uwagę, że samotność materjalną w wywodach tych uważa się środek — ale środek dużej wagi — przy wyrabianiu się uzdolnienia do samotności duchowej, samostarczalności, której terenem przejawienia się jest częstokroć właśnie ciżba).

Słowem — stwierdzam to raz jeszcze: — kto w ustroju demokratycznym jaknajwiększej ilości ludzi

[1]) Oto tezy wysunięte przez jednego z pisarzy kierunku krakowskiej „Zwrotnicy“ p. Juljana Przybosia: 1. Kult przyrody jest zabytkiem barbarzyństwa... 2. Wielbiciel przyrody — człowiek słaby... 3. Kult przyrody wygrzała pierzyna mieszczucha na letnisku... 4. Przyroda postarzała się i zbrzydła“. Przytoczone zdania są podtytułami ustępów artykułu p. t. „Człowiek nad przyrodą“. (Zwrotnica 9.26). Już przed 4-ma laty miałem sposobność na ten temat polemizować z teoretykiem tej grupy p. T. Peiperem w fejletonie p. t. „Słońce czy guzik“. („Głos Narodu“, 207/23).

[2]) „Dobrobyt materjalny“ nie pokrywa się całkowicie z „dobrobytem fizycznym“: pierwszy jest kategorją socjalną, drugi kategorją fizjologiczną; trudno jednak przypuszczać, aby modnej kobiecie dzisiejszej dobrze było w cieniutkich, przejrzystych pończochach na siarczysty mróz... ale ciepłe kamasze byłyby oznaką pauperyzmu — dopóki ich nie wprowadzi reklama

zorganizuje wypoczynek w sposób najlepiej umożliwiający wtajemniczenia w piękno przyrody — ten dobrze przysłuży się przyszłości społeczeństwa; ktoby zdołał w duszy zbiorowej wyniszczyć dar bezinteresownej kontemplacji świata, ten przygotowałby barbarzyńców, którzy nieustannie wstrząsać będą podwalinami każdego ustroju: żaden podział dóbr ich nie zadowoli, żadna obfitość rzeczy nie zasypie martwego rozdołu dusz, którym brak dna: Siebie[3]).

*

Bronimy, powtarzam, konserwatywnych kulturalnie wartości, gdy bronimy zdolności człowieka do wytrwania w samotni, do napełnienia pustego od ludzi świata życiem swojego wzroku. Ale pragnąłbym tu podkreślić jaknajmocniej, że jeżeli miłość dla przyrody musimy zaliczyć do zasobu naszych instynktów kulturalnie i społecznie zachowawczych — to, z drugiej strony, miłość ta, jeśli padnie na grunt przesycony etyką chrześcijańską, nieukojoną pozorami miłością bliźniego, to wydać musi postulaty polityczne, wcale dalekie od tego, co się w polityce popularnie mieni konserwatyzmem.

Na wielkiem rozdrożu współczesnem kultury trzeba takich politycznych zawołań, którymby odzew dały całkowite dusze, wstrząśnięte i obudzone w najgłębszych tajnikach swoich najosobistszych, najlepszych tęsknot i pragnień. Na wielkiem polu walki o kształt i kierunek przyszłej kultury świata ostać się mogą te jeno polityczne obozy, które programem swym obejmą całokształt spraw kultury — a zwycięży ten, kto stawi przed oczy swemu narodowi wizję przyszłego życia najgłębiej przekonywającą, najmocniej osadzoną w potrzebach i intencjach zbiorowych. Całem życiem trzeba się zająć, trzeba łuną nadziei oświetlić drogę ku uzdrowieniu, uszlachetnieniu, upiększeniu całej kultury narodowej. Nie idzie o hasła misterne i górnolotne: wielkość tem się cechuje, że jest bardzo zrozumiała dla prostego zdrowego rozsądku i dobrego serca, że nie jest ona niczem innem jeno wolą potężną przyłożoną do rozsądku i serca, jeno odwagą obstawania — pośród świata myśli zawiłych i misternych — przy myślach bardzo prostych i „zwyczajnych".

Wszyscy, którzy chodzimy po lasach, którzy z sercem bijącem ale nieustępliwem, wdzieramy się na wierzchy gór, którzy stajemy pełni skupienia i otrząsu ze wszystkiego, co nam niepotrzebne, w ogromnem kolisku skłębionych, pozazębianych horyzontów — winniśmy, zobowiązani jesteśmy nieść ze sobą wielką a bardzo prostą w swej treści troskę: troskę o człowieka zmasowanego, spospospolitowanego, sponiewieranego po miastach współczesnych, haniebnych magazynach ludzi! Wyprowadzić kulturę na powietrze! — oto najzwięźlejszy współczesny socjologiczny kształt przykazania o miłości bliźniego. Przebudować miasto — oto idea bezpośrednio pewna, a zdolna zorganizować całokształt myśli społecznej i wyzwolić potężną masę radości i nadziei. Trzeba wmyślić się w olbrzymi splot konkretnych, technicznych zagadnień związanych z ideą przebudowy miast w tym celu, aby je napełnić powietrzem, rozmieścić w przestrzeni, ozdobić roślinnością, przysposobić dla życia zdrowego i ładnego — by pojąć, że tu skupia się znaczna część tych zagadnień, które obejmują miano „kwestji społecznej"[4]). Dziecko więdnące z anemji i gruźlicy w dusznym zakamarku ciemnej i zaśmieconej oficyny — oto jeden z tragicznych punktów, w których pojęcie kwestji społecznej otrzymuje w sumieniu uczciwego człowieka swój sens najdolegliwiej rzeczywisty. Tu nie wolno mieć najmniejszej wątpliwości, co może oznaczać „lepsza przyszłość" społeczną: Mierzyć się będzie jej stawanie się ilością dzieci, które zbiegły ze śmietnisk na łąki.

Kwestja społeczna, z chwilą gdy postawimy przed sobą postulaty wielkiej zaprawdę miary, ale tak konkretne w swej treści i uproszczone w kształcie, jak powyższy — nie przestaje być tematem rewolucyjnym — a to w tem znaczeniu, że trzeba mieć w sobie masę gniewu na brzydotę i usech współczesnego życia, by nie wątpić, że woła ono o przebudowę gruntowną; otrząsa się wszakże z wszelkich zachceń demagogicznych i anarchicznych: w rozwiązaniu jej współdziała bowiem każdy człowiek dobrej woli, który od dziś organizuje wysyłkę dzieci i młodzieży na wieś, ułatwia i podnieca turystykę[5]), daje przyczynek jakiś do sprawy mieszkaniowej i t. p. Ale do takich prac trzeba w społeczeństwie porządku i spokoju. Prawo człowieka do powietrza i przestrzeni może być, w warunkach współczesnych, użyte jako temat przewrotowy; ale w treści swej postulat ten jest nawskroś konserwatywny kulturalnie; to też powinien stać się jednem z haseł naczelnych takiej grupy władczej, którąby wychodząc z najgłębszego gniewu i oburzenia na potworne niedorosty, na straszliwe nieurzeczywistnienie dotychczasowej kultury chrześcijańskiej, zapragnęła ocalić i pogłębić całość tendencyj psychicznych jednostkowych i zbiorowych, kulturalnie zachowawczych.

Aby jednak idea, że tak powiem, „przewietrzenia kultury", mogła stać się ideą o znamionach wielkości, ideą naprawdę energobodźczą i organizatywną, musi w szerokich masach podnieść się cena samotności, cena przebywania sam na sam z przestrzenią, z wysokiem niebem, z wielkiem życiem, które rytmem wdzięcznego pląsu listków wiosennych gibkiej brzozy

---

[3]) Nb. przyroda jako czynnik wyrabiania samoistności duchowej nie gra roli bezpośredniej, czynnej, ale pośrednią, bierną: stanowi najobfitszy w podaży i najprzystępniejszy materjał dla procesu psychicznego jednostki samotnej.

[4]) Przypominam tu z uwagi godnego artykułu p. Zygmunta Raczkowskiego p.t. „Amerykańskie niebezpieczeństwo" („Myśl Narodowa" 11/27): „Tendencje mechanizowania, ujednostajniania, „standardyzacji" przedostają się do wszystkich dziedzin życia i stają przed wrażliwszemi umysłami, jako groźna zmora... w nowszej literaturze spotykamy jakieś ponure wizje świata, podzielonego na regularne odcinki, miast zbudowanych z jednostajnych prawidłowych bloków domów, w których w jednakowych mieszkaniach przebywają ludzie, karmieni jednakowo z centralnych kuchen, znani zresztą jako „numery" i podlegający absolutnej władzy centralnej, sprawującej rządy w imieniu sprawności produkcji. Wizje te nie są tak fantastyczne, jakby ktoś mógł przypuszczać"... I dalej: „Dziś nadchodzi czas na nowy system, który musi być syntezą dotychczasowych doświadczeń, skorzystać ze wszystkich zdobyczy techniki i oddać je na służbę naturalnego dążenia ludzkiego do swobody, samodzielności i twórczej pracy..."

[5]) W fejletonie pt. „Turystyka, demokracja, patrjotyzm" („Głos Narodu", 251/2/26) podniosłem potrzebę wyrabiania „kultury (estetycznej) fragmentu": „Ze społecznego puktu widzenia, przy pożądanym ilościowym wzroście turystyki, pożytecznem będzie jej rozmieszczenie po całym kraju, aby odciążyć pewne szczególnie renomowane okolice; z punku widzenia indywidywidualno-psychologicznego trzeba uznać znaczenie obramienia obrazu: krajobraz widziany w ramach, znacznie podnosi swą wartość. Obok używania przyjemności estetycznych ekstenzyjnych, polegających na komtemplacji ogromu, nowości, obfitości, należy przyuczać się do takichże przyjemności intenzyjnych, polegających na pogłębianiu stosunku do przedmiotów estetycznych najbliższych, wybranych, przestrzennie nieznacznach. Ten sam zresztą postulat życia intenzyjnego daje się odczuwać jako potrzeby i na innych polach gospodarki duchowej: czyż nacjonalizm nie domaga się utrzymania ram dla pewnego obszaru życia, aby wzmóc jego wartość subjektywną, (celem skuteczniejszego podniecenia inwestowanej w nie energji) Podobnie regjonalizm, kult rodziny i t. d."

wplątuje się w nasze ludzkie najskrytsze, najciszej pod naimuniskiem troskań o wiele rzeczy leżące, pokłady radości i rozrzewnienia.

Społeczeństwo, któremuby przyroda postarzała i zbrzydła, nie posiędzie w sobie dostatecznej ilości tęsknoty do wydobycia się z zaduchu, smrodu i ciasnoty współczesnego miasta i współczesnej miejskiej kultury, kultury snobów, dla których niemasz w świecie życie poza zasięgami reklamy. Społeczeństwo bez pragnień życia samotnego i swobodnego, jeśli się przepełni goryczą i zniechęceniem, to pojdzie na komunizm, którego efektem jeszcze haniebniejsze, niż w mieście tegoczesnem zmasowanie, zmagazynowanie, zmotłoszenie ludzi.

Obcowanie jaknajszerszych mas z przyrodą, już ujęte z punktu widzenia zdrowotno-fizjologicznego, nie będzie postulatem trywjalnym dla nikogo, kto życie współludzi urządzać pragnie po g a z d o w s k u, według zdrowego rozsądku i zdrowego instynktu, które wobec jednostronnych, werbalistycznych stylizacyj ideowych, w jakich lubuje się snobizm, nie skapitulują ze swych domagań się. Dla ludzi o psychice gospodarskiej a władczej, zasobnych w rozmach i trzeźwość zarazem, ideał zorganizowania ludziom wypoczynku po pracy, nie w podziemiach i nie w ceglanych pudłach koszarowych domów, ale pod konarami drzew i z widokiem na pola, ma rangę ideału wielkodusznego.

Niemniej jednak, skoro idzie — jak się rzekło— o „przewietrzenie kultury", o uzdrowienie samychże jej wiązadeł ideowych od urbanistycznej infekcji, to platforma wyłącznie socjalno-hygieniczna byłoby w dyskusji niewystarczająca; jeśli kontemplacja przyrody ma zachować znaczenie swe czynnika kultury wewnętrznej, czynnika etycznego, a to wzmagając samoistność duchową jednostki — to stosunek człowieka do przyrody musi uzyskać znamię poniekąd ideowe, musi ocalić miejsce swe w całości poglądu na świat. A na tej właśnie płaszczyźnie kontemplację przyrody atakuje się — o czem w uwagach następnych.

KAROL L. KONIŃSKI

O POLSKIM MESJANIZMIE

SZERSZE sfery naszej inteligencji zaczynają się w ostatnich latach interesować polską filozofją narodową. Jest objaw zdrowy i pocieszający[1]). Przed specjalistami, szczególnie przed historykami filozofji polskiej otwiera się wdzięczne pole działania; informując, wyjaśniając trudności, usuwając nieporozumienia, mogą liczyć na chętnych czytelników i wdzięcznych słuchaczów. Wymownem tego świadectwem jest notatka na końcu książki p. W. Mileskiego, wydanej w roku bież., a zawierającej jego odczyty radjowe o „Polskiej filozofji narod.": „Ogólna liczba abonentów wynosi 1124 osoby, zamówionych egzemplarz zwyczajnych 1249, luksusowych... 57. Przedpłatę uiściło 918 abonentów zanim książka ukazała się w druku". Jak na nasze stosunki to bardzo dużo.

Jednakże, cóż widzimy? Informacje specjalistów i ich wyjaśnienia są tak rozbieżne, że nieporozumienia nietylko nie znikają, ale, niestety, przeciwnie: mnożą się i pogłębiają. Trudno byłoby się dziwić, gdyby przeciętny inteligent, słuchając wykładów o filozofji polskiej i czytając wszystko, co się z tego zakresu w druku ukazuje, był w ostatecznym razie zupełnie zdezorjentowany, zbity z tropu, wprost oszołomiony. Wyobraźmy sobie n. p., że ten człowiek był na cyklu wykładów o metafizyce, wygłoszonych w roku 1923 w Warszawie przez prof. W. Lutosławskiego, w r. 1926 wysłuchał prelekcyj p. W. Mileskiego, albo przestudjował je w wydaniu książkowem (1927), że przeczytał również pracę profesora J. Ujejskiego o Wrońskim[2]), a w związku z nią polemikę autora z p. Chomiczem („Wiadom. Liter." r. II, 1925, N-ry 43 i 45), że zna działalność Instytutu Mesjanicznego w Warszawie i przedmowy jego przedstawicieli do wydawanych przez Instytut polskich przekładów dzieł Wrońskiego; jakież będzie miał ostateczne pojęcie o filozofji polskiej, o mesjanizmie, o jego twórcach i przedstawicielach? Kimże był wreszcie ten Józef Marja Hoëné-Wroński, jeżeli można o nim pisać tak, jak Ujejski i tak jak Chomicz: szarlatanem, czy zbawcą ludzkości? genjuszem, czy paranoikiem? Czem jest mesjanizm polski? Czy obłędem emigrantów, zrozpaczonych po stracie ojczyzny, czy nową ewangelją, objawioną błądzącemu światu? A może prawda nie leży na żadnym z tych przeciwstawnych biegunów, lecz gdzieś pośrodku?

Celem tego artykułu nie jest danie odpowiedzi na te pytania. Cel, jaki sobie tu stawiam, jest inny, znacznie skromniejszy: chodzi o usunięcie zamieszania, uniemożliwiającego poprostu przystąpienie do pracy nad temi zagadnieniami, o wskazanie punktu wyjścia tym, którzyby chcieli podjąć poważne i bezstronne studja nad polską myślą filozoficzną w celu ustalenia naukowo uzasadnionego poglądu na jej wartość; zarazem o dopomożenie miłośnikom przedmiotu do zrozumienia różnic w jego oświetleniu przez różnych autorów i prelegentów.

Studja, o jakich wyżej była mowa, muszą jaknajrychlej być podjęte i doprowadzone do pożądanego wyniku. Ostatni czas na powiedzenie sobie i innym prawdy o naszym dorobku filozoficznym. Albo przestańmy się łudzić, że mamy skarby, o których świat dotąd nic a nic nie wie, albo wywalczmy uznanie dla dzieł genjuszu polskiego; gdyby się zaś miało okazać, że nasi filozofowie nie byli ani grafomanami, ani genjuszami, lecz normalnymi myślicielami i pisarzami średniej rangi, to również postarajmy się o to, aby były im przyznane miejsca, odpowiadające zasłudze, aby ich myśli były włączone do dorobku ogólno-europejskiego[1]). Ale przedewszystkiem musimy sami dzieła naszych myślicieli znać i nasze opinje o nich uzgodnić.

Jakie się sprawa przedstawia dzisiaj? Jeszcze smutno, chociaż pewien postęp jest już widoczny. Niektóre podstawowe dzieła jeszcze dotąd trudno są dostępne. Kilka, najważniejszych może, wydano, po raz pierwszy conajmniej poprawnie, a czasem wzorowo, w ostatnich latach. Wymieńmy: Cieszkowskiego „Ojcze-Nasz", 3 tomy, 1922—23; Hoene-Wrońskiego „Prolegomena do Mesjanizmu", 3 tomy, 1922—25; Słowackiego „Król—Duch", tekst i komentarz J. G. Pawlikowskiego. 2 tomy, 1915. Wśród sfer kompetentnych, wśród oficjalnych przedstawicieli filozofji, z niewielu wyjątkami obojętność zupełna; na polu, niezajętem przez uczo-

[1]) Por. art. autora „O filozofję narodową", Myśl Narod r. IV (1926) Nr. 16.

[2]) O cenę absolutu (1925).

[1]) Charakterystyczny dla obecnego stanu rzeczy jest n. p. fakt, że w znanym podręczniku Historji filoz. nowożytnej Falckenberga znajdujemy o Wrońskim—chociaż pisał po francusku— tylko tyle: „*Der Mathematiker Hoene Wroński († 1853) knüpft an Kant an*" (wyd. 8-e, 1921, str. 592).

nych, harce amatorów i dyletantów. Koterje i kapliczki; uwielbienie niedość krytycznych wyznawców i dziwna, zastanawiająca zawziętość przeciwników. Wynoszenie pod niebiosy („AVE, Wroński, praw boskich wielki ustanowco!“), albo lekceważenie nie umotywowane, niemal pogarda i uparte przemilczanie.

Oby Zjazd Filozoficzny w Warszawie (wrzesień 1927 r.), ożywiając poważniejsze zainteresowania filozofją, stał się punktem zwrotnym w smutnych jak dotąd losach naszych myślicieli! Obyśmy nasz dług względem nich jaknalepiej mogli spłacić, nasze zaniedbania i na tem polu jaknajprędzej powetować. Oby nas stać było wreszcie na sąd poważny i spokojny, na ocenę sprawiedliwą, obiektywną, beznamiętną!

Przedewszystkiem liczę na młodych, na zdolnych i pełnych zapału dzisiejszych studentów filozofji. Nie wszystkim wystarcza modna dziś u nas logistyka. Niektórych pociągają też studja nad historją filozofji. Może znajdą się wśród nich tacy, którzy zapragną w przyszłości, gdy zostaną samodzielnymi uczonymi, poświęcić swe siły i zdolności pracy na polu dziejów filozofji polskiej XIX-go stulecia i w tym kierunku teraz już zaczną się specjalizować. Może ci doprowadzą kiedyś do końca pracę ledwie rozpoczętą, wykonają ją tak, jak każe poczucie sumienności naukowej i jak każe nasza narodowa godność.

Materjałów już nie brak, do syntezy bardzo jeszcze daleko. Pracowali tu dobrze zasłużeni: Henryk Struve i Maurycy Straszewski, pracował Adam Żółtowski (który pisał o Cieszkowskim), Horodyski (o Trentowskim), Harassek (o Gołuchowskim) i inni. Włożono w tę pracę wiele wysiłku, wiele dobrej woli. Wszystko to jednak stanowi niewielką cząstkę tego, co zrobić trzeba. Krytyczne wydanie tekstów, kompletne bibljografje, wykazanie wpływów i zależność, ocena samodzielnych wyników — to dopiero część zadania. W dalszym ciągu należy określić, co z tych wyników ma być włączone do współczesnego systematu filozofji narodowej polskiej. Pozostawiono tu bez rozstrzygnięcia podstawowe pytanie, na które odpowiedzieć można tylko na podstawie wyniku badania, którego stan wyżej naszkicowałem: czy współczesna filozofja polska miałaby zachować charakter religijno-mistyczny, tak istotny dla mesjanizmu Towiańskiego i wieszczów, czy też przeciwnie miałaby się od religji objawionej całkowicie uniezależnić (co nie znaczy, oczywiście, by się jej miała przeciwstawiać i z nią walczyć).

Pomijam tu całkowicie przyczynki polskie do różnych kierunków myśli filozoficznej ogólno-europejskiej; chodzi mi wyłącznie o to dziwne, niepokojące zjawisko, Europie dotąd nieznane[3]), całkowicie swoiste i odrębne, które nazywamy „polską filozofja narodową“ lub „polskim mesjanizmem“. Otóż pierwsze i główne źródło wspomnianych wyżej nieporozumień polega na tem, że terminu „mesjanizm“ używa się oddawna na oznaczenie dwóch zupełnie co do charakteru różnych grup poglądów i wierzeń, stycznych w niektórych tylko punktach. Inaczej mówiąc, są dwa odrębne mesjanizmy: jeden wieszczów, t. j. Mickiewicza i Słowackiego, stworzony pod wpływem mistyka Towiańskiego, rozwinięty najlepiej przez filozofa Cieszkowskiego, drugi — Wrońskiego, który też po raz pierwszy użył terminu „mesjanizm“ w r. 1827, w liście do papieża Leona XII, o czem w setną rocznicę warto przypomnieć. Dodam odrazu dla orjentacji, że współczesnym przedstawicielem pierwszego kierunku jest W. Lutosławski, zaś Instytut Mesjaniczny z pp. J. Jankowskim i P. Chomiczem na czele i p. W. Mileski (który pisywał dawniej pod nazwiskiem Mutermilch i pseudonimem Bojomir) — drugiego. Przedstawienia obu kierunków najczęściej nie są odbiciem poglądów polskich filozofów w postaci czystej, ściśle według ich dzieł, lecz są zabarwione poglądami osobistemi sprawozdawców[4])

Oba mesjanizmy mają charakter systematów metafizycznych; ale podczas gdy pierwszy — mesjanizm wieszczów — jest gatunkiem s p i r i t u a l i z m u, podstawową rzeczywistością są dlań bowiem działające, czynne, obdarzone wolą jaźnie ludzkie i nadludzkie z ich Stwórcą na czele, drugi—mesjanizm Wrońskiego— należy do i d e a l i z m u ponieważ, wzorem Platona i Hegla, uważa idee za składnik rzeczywistości czynny i twórczy, kształtujący to coś, co w rzeczywistości jest bezwładne i bierne. Oba kierunki różnią się równie zasadniczo z punktu widzenia teorji poznania, jak z punktu widzenia metafizyki. Już Trentowski, polemizując z Libeltem, mocno zaakcentował tę różnicę gnoseologiczną obu mesjanizmów; sam zaś Wroński z oburzeniem odżegnywał się od podejrzenia o pokrewieństwo jego systematu do mistycyzmu Mickiewicza. Bo gdy dla mistycyzmu Mickiewicza głównem źródłem poznania jest natchnienie, zsyłane człowiekowi w stanie łaski przez Boga, dla Wrońskiego źródłem tem jest rozum ludzki. Klasyfikując kierunki gnoseologji ze względu na źródło poznania, pierwszy pogląd nazywamy m i s t y c y z m e m, drugi r a c j o n a l i z m e m. Jeżeli kto Wrońskiego nazywa mistykiem, to jest to grube pomieszanie pojęć. Wroński był w metafizyce idealistą, zaś w teorji poznania był racjonalistą, bo sądził, że rozumem dojść można prawdy bezwzględnej [5]). Aby jego systemat zrozumieć, trzeba przedewszystkiem znać Kanta, Hegla i Schellinga; długa to i trudna droga, ale jedyna. Trzeba nią pójść, aby rozstrzygnąć to zagadnienie: czy miejsce Wrońskiego jest wśród pokantowskich filozofów niemieckich, czy też jego systemat, mimo wspólności źródła i pokrewieństwa pierwiastków, stanowi nową epokę w dziejach filozofji, jak twierdzą jego wyznawcy. Tymczasem jest to jeszcze kwestja otwarta.

O ile jednak nie może być wątpliwości, że to, co pozostawił Wroński, jest systematem filozoficznym, mniej lub więcej wartościowym, o tyle łatwo można się spotkać z protestem, gdy się mówi o filozofji Mickiewicza lub Słowackiego. Według mego przekonania, o tem, czy co do filozofji należy czy nie należy, powinno się decydować przedewszystkiem na podstawie treści, a nie na podstawie formy.[6]) Jeżeli pewne myśli nie są ułożone systematycznie, jak w doktorskiej rozprawie, lecz są rozproszone wśród utworów poetyckich,

[3]) Są zresztą wyjątki, n.p. trwa do dziś we Włoszech kult Towiańskiego. — Mesjanizm polski po raz pierwszy oficjalnie niejako przedstawiony Europie w V tomie Ueberwega *Grundriss d. Gesch. d. Philos.*, w oprac. prof. Lutosławskiego, na 14½ stronicach.

[4]) Uwaga ta stosuje się zarówno do wspomnianej książki p. Mileskiego, jak do opracowania mesjanizmu polskiego u Ueberwega przez prof. Lutosławskiego.

[5]) Wyznawcy Wrońskiego zaprotestowaliby naturalnie przeciwko nazywaniu go idealistą i racjonalistą, bo według nich ten filozof wzniósł się ponad wszelkie tradycyjne kierunki, dając najwyższą ich syntezę. Na wypadek, gdyby ktoś z tej grupy zamierzał z wyrażonym tu poglądem polemizować, ostrzegam zgóry (dla uniknięcia późniejszych wyjaśnień) przed możliwem pomieszaniem kierunków w teorji poznania (idealizm gnoseologiczny — realizm) z kierunkami w metafizyce (idealizm platoński lub heglowski — materjalizm).

[6]) Por. mój artykuł o „Filozofji teoretycznej B. Prusa“, Przegląd Warszawski, r. 3 (1923), № 18.

to niemniej ich zbiór może wyrażać pogląd o charakterze filozoficznym, albo nawet może być filozoficznym systematem, jeżeli tylko te myśli nie zawierają niedających się usunąć sprzeczności, a odnoszą się do podstawowych zagadnień metafizyki i w związku z nią etyki. Na tej podstawie zaliczymy do filozofji staroindyjskie hymny, zaliczymy też „Króla — Ducha." Palingeneza, przedmiot tego nadludzkiego zaiste poematu, jest jednym z najstarszych i najdonioślejszych problematów metafizyki. Wiarę w palingenezę, wspólną wieszczom i większości przedstawicieli polskiej filozofji narodowej, Wroński odrzuca—i to stanowi jedną z zasadniczych różnic obu kierunków mesjanizmu.

Z pism Mickiewicza i Słowackiego, kilku innych wielkich poetów i myślicieli, można wybrać myśli, odnoszące się do losów jaźni i utworzyć z tych myśli zwarty systemat o charakterze mistycznym. Któż i kiedy tego dokona? Mógłby kto sądzić, że tego trudu podejmować nie warto i nie trzeba, bo odarte z poetyckiej szaty, myśli te stracą całą swą wagę; ale byłby to sąd mylny. W tej poezji zdaje się tkwi najgłębsza filozofja. Niech się stara ją poznać każdy, kogo nie zadawala materjalizm, kto nie może uwierzyć, aby to tylko było rzeczywiste, czego można dotknąć palcem.

Najważniejszą bodaj i najoryginalniejszą koncepcją mesjanistyczną jest koncepcja narodu, jako wielkiej rodziny duchów pokrewnych, łączących się dla spełnienia wspólnego posłannictwa. Między jednostką i Bogiem naród tworzy ogniwo pośrednie, a konieczne; przez narody, prowadzone ręką królów-duchów, dzieje się wola Boża. Nauce o narodzie przeciwstawia się materjalistyczną teorję, według której naturalnym podziałem ludzkości jest podział na podstawie interesów materjalnych: na klasy, a nie na narody. Oto, co różni istotnie dwa polityczne obozy, nacjonalistow i internacjonalistów, lub raczej patrjotów i uniwersalistów. Systemat Mickiewicza jest systematem patrjotyzmu.

W ten sposób w najzwięźlejszem ujęciu można wytyczyć kierunek, w którym pójść powinno krytyczne badanie polskiego mesjanizmu. Dla uniknięcia elementarnych nieporozumień byłoby dobrze zachować na przyszłość nazwę mesjanizmu w jego szerszem znaczeniu wyłącznie dla narodowego poglądu na świat wielkich romantyków, zaś systematu Wrońskiego nie nazywać mesjanizmem, lecz filozofją absolutną (*philosophie absolue*). Byłby to może krok na drodze ku rozwiązaniu pytania doniosłego dla przyszłości Polski: co to jest polska filozofja narodowa i jaka jej trwała, nieprzemijająca wartość? Rozwiązania tego problematu domaga się nietylko wzgląd na przyszłość narodu; jest to również obowiązek wobec męczeńskiej przeszłości.

BOLESŁAW GAWECKI

MAURICE BARRÈS

PRÓBA CHARAKTERYSTYKI TWÓRCZOŚCI

Qu'est-ce que la vérité? Ce n'est point des choses à savoir, c'est de trouver un certain point, un point unique, celui-là, nul autre, d'ou toutes choses apparaissent avec des proportions variés.

Barrès. „*Scènes et doctrines du nationalisme*".
Ks. I, str. 12.

POWIEDZIEĆ o pisarzu, że jest dajmy na to nacjonalistą i katolikiem, lub socjalistą i ateuszem, że celuje w tym czy innym rodzaju literackim, że udają mu się takie typy, a nie udają inne, że ma zmysł humoru, sceny, talent konstrukcyjny etc. — jest to conajwyżej naszkicować jego rysopis literacki, pozostający w takim stosunku do portretu literackiego, jak „dowód osobisty" do portretu malarskiego. Wszystkie tu przytoczone i podobne definicje określają zaledwie, w jakich granicach psychologicznych i estetycznych mieści się dzieło pisarza, o dziele tem nic prawie nie mówiąc. Istotne dla poznania pisarza, jak każdego wogóle artysty, jest odnalezienie tego kompleksu psychologicznego, który w nim dominuje, tego splotu wrażliwości, przywiązań, antypatyj, umiłowań, które są mocnym punktem jego duszy, promieniującym we wszystkie strony i nadającym specjalną lokalną barwę wszystkim jego ideom, wszystkim jego dziełom.

1. U Barrèsa tem ogniskiem psychicznem jest czujność, wyostrzenie słuchu wewnętrznego tak wielkie, że człowiek staje się tu podobny do muzyka, słyszącego w polifonji orkiestralnej wszystkie tony poszczególnych instrumentów. Owa czujność jest u naszego autora czemś więcej niż u każdego artysty: jest nietylko dobrym stanem instrumentu, wybornie nastrojonego i posłusznego palcom artysty, jest sama przez się przedmiotem szczególnego umiłowania. Trzeba wszystko słyszeć, aż do oddechu ziemi, aż do szmeru krwi, płynącej w żyłach naszych, aż do najodleglejszych, niespodziewanych atawizmów psychicznych, które w nas drzemią.—Przeciwieństwem tego stanu jest gruboskórność, stan polegający na niemożności dostrzegania subtelnych związków między poszczególnemi fragmentami rzeczywistości; ekspozyturą tej dyspozycji w życiu społeczno-towarzyskiem jest niedelikatność.

Aparat psychiczny obserwatora nadmiernie wyczulonego unika sfery mocnych żywiołowych wzruszeń, gestów głośnych, prostych wytycznych czynu — unika słowem zetknięcia się z tą sferą faktów psychicznych, które, należąc do wszystkich, nie należą do nikogo. Życie psychiczne zbyt prostolinijne, wyraźne, mocne — ogłusza człowieka, nie wytrzymuje on tych ciśnień — niepodobna przez mikrofon słuchać huku strzelających opodal armat. Wyobraźnia pisarza o słuchu tak wyczulonym, jak Barrès wybiega na peryferje życia psychicznego, czuje się dopiero swojo wśród tajemniczych zagajników przeczuć, przedziwnych w swej lotności konfliktów, walk, toczących się między cieniami, nie będącemi jednak (w naszym wypadku) ani abstrakcjami, ani tworami nadprzyrodzonemi, to jest takiemi, które rodzajem bytu wykraczają poza zakres doświadczenia ludzkiego.

Barrès nie jest ani fantastą-wizjonerem, jak Poe lub poniekąd Barbey d'Aurevilly, ani poszukiwaczem nadprzyrodzoności i cudowności w człowieku specyficznie dysponowanym (Ewers, nasz Grabiński) ani symbolistą, dla którego rzeczy tego świata są sygnałami innej, większej, patetycznej i jedynie prawdziwej rzeczywistości, dalszej i bardziej niedostępnej niż „tajemnica" pierwszych, kiedy to rzeczywistość „tutejsza" jest jeno „odblaskiem", „pozorem", „wybiega" ku czemuś nieskończenie większemu, „bezkresnemu" („praiły" Przybyszewskiego). Dla Barrèsa rzeczywistość nie znaczy — ona poprostu jest, — jest tem, czem dla każdego z nas. Różnica między Barrèsem a przeciętnym obserwatorem życiowym tkwi tylko w tem, że Barrès wie o tej rzeczywistości nieskończenie więcej, niż my o niej wiemy, wie o jej dziedzinach,

których my nie dostrzegamy, zna kręte ścieżki, prowadzące od rzeczywistości „ogólnie znanej“ do owej rzeczywistości lotnej, eterycznej, która jest jego naturalną ojczyzną.

Ten stosunek do rzeczy dziwnych, do tajemnicy, jest rasowo francuski, powiedziałbym rzymski. Człowiek, należący do narodu, obdarzonego ostrym zmysłem rzeczywistości, lubującego się w prostocie, precyzji, jednoznaczności, nie zniósłby jakichś arbitralnych wtargnięć w życie ziemskie Tajemnicy, nie legitymującej się przed nikim i niczem, nie zniósłby również, aby rzeczywistość tego świata była tylko znakiem algebraicznym jakiejś rzeczywistości innej, z natury swej niedostępnej naszemu badaniu. — Tak przedziwnie złożyły się okoliczności, że właśnie człowiek w ten sposób ustosunkowany do świata urodził się z wyobraźnią rozpiętą na niesłychanie szeroką skalę, z darem wyczuwania rzeczy dziwnych, posuniętym do stopnia niemal niebywałego.

2. I oto widzimy skojarzenie niezwykle udatne i zajmujące: pisarz, oddychający błękitnem powietrzem Novalisa, wyczuwający wybornie cudowność tej atmosfery, jej wagę estetyczną, jest zarazem tego powietrza skrupulatnym i objektywnym analitykiem. Czem ta analiza jest — o tem przekonamy się, wziąwszy do ręki tomik Barrèsa. Wybieram „*Du sang, de la volupté et de la mort*“, książkę, która wprowadza nas w sam środek barresowskiego świata.

Wysokie napięcie dramatyczne wyczuwamy w pierwszym utworze z tego cyklu *(Un amateur d'âmes)*. Ale cóż jest tego dramatu osią? — Ustosunkowanie się człowieka do pejażu Toledo... W najścislejszym związku z tym dramatem intymnym rozwija się dramat dalszy, już bardziej zrozumiały, dramat, tkwiący w stosunku brata do przyrodniej siostry (nielegalnej córki ich wspólnego ojca), w stosunku, który w braku innego słowa nazwijmy miłością. Robię to zastrzeżenie, gdyż zamknięcie w jednem słowie tak powszechnie używanem jak słowo miłość tej mnogości powiązań uczuciowych, które Barrès do stosunku swych bohaterów wprowadza, — jest skrótem, i to bardzo despotycznym. Dramat pierwszy robi zrazu wrażenie tła, sceny dla dramatu drugiego, „oficjalnego“. Jednak takie przedstawienie sprawy byłoby opacznem ustępstwem na rzecz szablonu literackiego, każącego nam widzieć w dramacie, rozgrywającym się między ludźmi „dramat właściwy“, w całym zaś splocie dramatycznym, mającym za treść konflikty wzruszeniowe wewnętrzne, estetyczne jedynie tło dramatyczne, dekorację, przygotowanie nastroju. — Dramat wzruszeniowo - estetyczny jest tu hierarchicznie równy dramatowi osobistemu, wiąże się z nim nie jak tło z postaciami obrazu, lecz jak poszczególne postacie jednej jedynej grupy artystycznej.

W takiem ustosunkowaniu elementów dramatu podziwiać możemy trafność i śmiałość koncepcji psychologicznej pisarza, który zbliżył się tu niezmiernie do rzeczywistości życia. Dziedzina obcowania z przyrodą, t. z. przedmiotami martwemi należy do najbardziej w literaturze opanowanych przez szablon. Traktuje się ją jako tło, „dodatek“, przepis *savoir vivre*'u dla powieściopisarzy, w najlepszym razie jako okazję do symbolicznego przedstawienia sił duchowych człowieka (romantycy). Ulega się tu nałogom życia praktycznego, które na drugi plan usuwa to wszystko, co nie ma widocznego wpływu na nasze koleje. Zapomina się, że ta dziedzina nie jest ani o jotę mniej ważką psychicznie, niż n.p. dziedzina życia publicznego, rodzinnego i t. p., że rozgrywają się tu dramaty nie mniej realne od wszystkich dramatów miłosnych, że pełno tu przywiązań, zawodów, niespełnionych obietnic... Nasz język potoczny i posłuszna mu w tym wypadku literatura mają ubożuchny słownik na określenie tych stanów; moment obcowania z przyrodą zaczyna nas interesować dopiero z chwilą, kiedy z jakichkolwiek przyczyn nabiera cech pewnej uroczystości — niejednego też mamy mistrza w sztuce wyrażania tych wzruszeń. Zresztą nie posuwamy się poza „smutek“ (no i „smętek“ — koniecznie...), „przygnębienie“, „radość“, które przebiegle poprzedzamy słówkami „jakaś-jakiś“, pozwalając się dużo domyślać... Każdy, kto brał za pióro, aby wyrazić bądź prozą, bądź wierszem jakiś odcień psychologiczny z tego zakresu faktów (a któż nie czynił tego?),—pozostawał sromotnie przy tych wszystkich „dziwnych smutkach“,—z poza których tylko szczególny wysiłek sympatji zdolen jest wykryć tętniący nerw prawdy. Każdy, kto świadomy jest trudności zadania, kto zdaje sobie sprawę z tego, jak wielkiego napięcia energji artystycznej wymaga poruszenie z miejsca tej martwej dziedziny językowej, aby dotrzeć przez słowo do właściwego wyrazu—podziwiać musi potęgę (jakże dyskretną w swych przejawach) talentu Barrèsa, któremu udało tu się lody przełamać. Trzeba mieć wielkopańskie manjery pióra, aby na tak niepewnym terenie nie tracić kontenansu, być śmiałym i mówić dobrym językiem.

A oto fragment ze wspomnianego opowiadania, wyjętego z cyklu „*Du sang, de la volupté et de la mort*“:

„Sekretem jego niemocy było, że odczuwał rzeczy pod kątem widzenia wieczności, ujmował je tylko w ich rozwoju, i było dla niego niemożliwością wyolbrzymianie teraźniejszości w ten sposób, aby na nią móc oddziaływać. To też całe potoki poezji gromadziły się w nim, tembardziej, że nie zużywał ich na poruszanie żadnego koła młyńskiego. Sród tych ruin i tylu szalonych energji przez nie wyzwolonych, w dość dobrych będąc interesach, aby się o nie nie troszczyć, pogrążał się w sny płomienne, których bohaterem siebie jedynie czynić potrafił.

Toledo przez swą odwieczność, przez wygląd ponadwiekowy, Toledo, na którem ani lata nie zdają się już znaczyć swej drogi— tak jest stare, ani wypadki— tak jest legendarne, musiało głęboko zaspakajać tę natężoną wyobraźnię. Strzeliste Toledo — oto losem wyznaczone dopełnienie tej duszy, takim trawionej żarem, że w dziedzinie sztuki jedynie gwałtowne skróty Pascala i Michała Anioła ją zaspokajały, tych mistrzów o duszach równie samotnych i natężonych“.

Jakże wielkich rezultatów można oczekiwać od pisarza, który tak doskonale opanował niezwykle trudną dziedzinę stosunku człowieka do rzeczy niemych i martwych — w ujmowaniu spraw ludzkich.

3. Tu jest miejsce na zaznaczenie punktu zasadniczego filozofji Barrèsa. Punktem tym jest determinizm specjalnie pojęty.

Mało jest spraw tak uwikłanych w dialektykę, tak zmumifikowanych, jak zagadnienie determinizmu psychologicznego. Każą nam uważać, że jesteśmy lub nie jesteśmy wolni, przytaczają nam na poparcie obu tez niezliczone argumenty, rozporządzają się naszą wolnością tak, jakgdyby chodziło tu o coś w stosunku do nas zewnętrznego. A przecież, jeżeli prawdą jest, że jesteśmy lub nie jesteśmy wolni — to o tyle tylko ta prawda obchodzić nas może, o ile tłumaczy się na język doświadczenia, o ile mamy możność stwierdzić w sobie ów stan wolności lub jej brak.

Niewiele ucieszy mnie wolność, którą mi przyznają, ale której nie czuję, nie przestraszy mnie też niewola, której kajdanów za sobą nie wlokę. Czy to rozumowanie podoba się filozofom, czy nie — pozostanie ono nie mniej nigdy nie zagłuszonym głosem naszej samowiedzy, która wypowiada się za determinizmem lub indeterminizmem wedle własnych sprawdzia-

nów, obca dialektyce. Zważmy, że zagadnienie wolności przedstawia się naszej samowiedzy w innych zgoła terminach, niż je znajdujemy sformułowane w rozprawach filozoficznych. O ile filozofowie uważaliby wolność za dowiedzioną wówczas, gdyby okazała się prawdziwą teza, że w każdej chwili mam swobodę wyboru moich czynów i mogę czynić „cokolwiek zechcę", o tyle samowiedza nasza nie wiedziałaby, co z taką wonością począć. Nigdy nie chcemy czynić „czegokolwiek", nic nam nie zależy na tem, abyśmy mogli czynić „cokolwiek".

Zagadnienie wolności rodzi się na pewnym dość już wysokim poziomie życia psychicznego. Wówczas, gdy człowiekowi zależy już na tem, aby być wolnym, rozumie przez wolność stan najpełniejszej realizacji swych najgłębszych pragnień, będących wyrazem jego jaźni, która w całej swej powadze i głębi niekiedy tylko ukazuje się jego wzrokowi wewnętrznemu. Dla samowiedzy naszej wolność nie jest stanem „swobody wyboru", lecz stanem głębokiego zestrojenia się z imperatywnym głosem własnej natury. I gdyby dowiedziono nam, że musimy pragnąć tego, czego pragniemy—chcieć tego, czego chcemy, równocześnie zapewniając nas, że mamy możność nieskrępowanej realizacji owych najgłębszych pragnień — to jakkolwiek nazwaćby to można determinizmem, będziemy się uważali za wolnych.—I jeżeli znajdzie się ktoś, kto ze szczególną wyrazistością uwidoczni nam tę prawdę, że każdy z nas ma ściśle wyznaczoną linję życiową, której nie spostrzega czasem, lecz której wyminąć nie może, że rodzimy się już tem, czem w przyszłości zostajemy, że życie nasze jest rozwinięciem tych dyspozycyj, które w nas są założone—to stawiając nas w ten sposób oko w oko z koniecznością wewnętrzną, raczej utwierdzi nas w przekonaniu, że jesteśmy wolni, niż wzbudzi poczucie niewoli i zależności. Dla nas wolność jest to właśnie „zgoda z sobą", poznanie swej konieczności. Skoro raz poznaliśmy, że tylko jedną iść możemy drogą, jeżeliśmy tę prawdę zupełnie dokładnie zrozumieli, wówczas pragniemy iść tą drogą — i wtedy właśnie czujemy się wolnymi. Niewolą jest nie wiedzieć, dokąd się idzie, nie rozumieć najgłębszych pragnień swej natury. Spostrzegając, że życie nasze posuwa się jednym jedynym traktem i że nic nie może tego zmienić, że jesteśmy zdolni tylko do pewnych rzeczy a niezdolni do innych, rośniemy w poczucie niezniszczalnej siły wewnętrznej, która wszystko przetrwa i wszystkiego dokona.

Jest to optymizm bardzo kosztowny, ale bardzo głęboki.

Już w zbiorze *„Du sang, de la volupté et de la mort"* spotykamy się z temi myślami, wyraźnie zaznaczonemi w opowiadaniu *„Les deux femmes du bourgeois de Bruges"*.

Bogaty obywatel Bruges podczas jednej ze swoich wypraw na południe poznaje cudnej urody kobietę, która na jego uczucia odpowiada wzajemnością. Wywozi ją do rodzinnego miasta i — tu znowu podziwiać musimy mistrzowską prostotę pisarza w oddawaniu spraw subtelnych i skomplikowanych — wywiązuje się specjalny stosunek między obu kobietami: szarą Flamandką i majestatyczną Wenecjanką. Znowu bajeczne stopienie momentów pejażu, klimatu, otoczenia domowego, ciszy flamadzkiego wnętrzna z linją konfliktu moralnego, zrodzonego z tej nowej sytuacji. By usprawiedliwić wprowadzenie do swego domu Wenecjanki, bohater opowiada, że jest ona nawróconą przez niego poganką. Wenecjankę przyjmują ze czcią, a Memling, mąż-misjonarz, zasiada na ucztach pośród swych obu żon... Sytuacja, nadająca się do interpretacji komicznej, w ręku Barrèsa innego zgoła nabiera kolorytu: pociąga nas delikatnością i złożonością rysunku. Pobożna Flamandka przejęta jest powagą sytuacji, obcowanie z nawróconą i to nawróconą przez jej męża nabiera cech religijnego dostojeństwa, wytwarza atmosferę skupienia i powagi. Flamandka czuje się sługą tamtej — nawrócony stoi w hierarchji moralnej wyżej od urodzonego w wierze prawdziwej... Flamandka pragnie swoje życie poświęcić tej nowej służebnicy bożej... Memling umiera — pozostają jego dwie żony. Wenecjanka błaga Boga, by pierwsza mogła umrzeć, by samej przez pewien czas w grobie z mężem swoim spoczywać. Flamandka jest jej sługą, jak nią była za życia męża, a w testamencie swym wyraża życzenie, aby być pochowaną u stóp swych państwa i aby ten stosunek podaństwa uwieczniony został w jej nagrobku, wyobrażającym ją w pozycji psa u nóg męża-misjonarza i nawróconej. Jednak życzeniu jej nie stało się zadość; uważano taką grupę za uwłaczającą pamięci zmarłej i umieszczono wyobrażenie zmarłej jako postać równorzędną dwojgu tamtym, dumnie między niemi stojącą.

„Co do mnie, to protestuję przeciw takiemu zlekceważeniu jej woli, pisze Barrès, protestuję przeciw tej poniżającej równości, która ją wywyższyła wbrew jej życzeniu!... Gdyby to ode mnie zależało, ta, która urodziła się sługą pozostawałaby na wieki wieczne u stóp swych państwa. Bóg nie powołałby we Flandrji do życia duszy, z której mógłby uczynić Wenecjankę!"

To, co tutaj znalazło wyraz w zdaniach, mimochodem niejako rzuconych, choć napiętnowanych głębokiem przekonaniem — to staje się przewodnią myślą, około której grupuje się długi cykl powieści i rozpraw naszego autora. Rzecby można, że całe dzieło Barrèsa jest pogłębieniem tej jednej myśli, tego zasadniczego uświadomienia.

(Dok. nast.) JAN EMIL SKIWSKI

WIEŚ POLSKA

Olbrzymie tarcze słoneczników toczą się wokół chat
niby promienne słońca, jak przed setkami lat — —

I zawsze—jak przed wiekami—na strudzonego człeka
czeka bochen razowca i gar słodkiego mleka — —

W sadach w trawy puszyste źrałe spadają owoce
i psy szczekają zajadle w gwieździste, ciche noce — —

Gdzieś tam daleko jazzbandy i grzmi radjo-koncert —
tu grają pszczoły wśród kwiatów i pachnie ziemia i słońce — —

Na linji Warszawa-Paryż kursuje codzień samolot —
tu wiodą zielone miedze ku łąkom kwietnym i polom — —

Dudnią światami ekspresy, lśni w włosach nocy semafor —
tu tylko trzmiele zahuczą jak słupy telegrafów — —

Nie czytuje się tutaj ksiąg grubych i pustych gazet —
sens życia w niebie i w ziemi, w milczeniu świętych obrazów — —

Nie traci się tu czasu w gorączce dysput jałowych —
są rzeczy stokroć ważniejsze: żniw zwózka, konie i krowy — —

I nic tu wcale nie wiedzą z dni majowego przewrotu —
są rzeczy stokroć ważniejsze: dziurawe dachy i płoty — —

A zawsze, jako przed wieki, na strudzonego człeka
czeka bochen razowca i gar słodkiego mleka — —

Olbrzymie tarcze słoneczników toczą się wokół chat
niby promienne słońca, jak przed setkami lat — —

Kraków JÓZEF ALEKSANDER GAŁUSZKA

LIBERUM VETO

Moje prawo głosu. — Świat róż i prawa twórcze. — My bez miejsca. — Zdobywanie posad. — Brak obywateli niezależnych. — Zginanie karków.

Ażeby czytelnicy nie zaliczyli mnie do literatów, piszących o wszystkiem z jednakową odwagą i znajomością rzeczy, muszę naprzód krótko wylegitymować się z prawa zabierania głosu w przedmiocie obecnego fejletonu. Od młodości, a nieprzerwanie od lat 40, ubocznem, ale bardzo umiłowanem polem moich zajęć jest ogrodnictwo, któremu zawdzięczam nie tylko pewną sumę cennej wiedzy i żadnem innem źródłem wzruszeń niezastąpionej rozkoszy, ale głęboki wpływ moralny. Nie potrzeba być wcale spostrzegaczem zbyt przenikliwym, ażeby dojrzeć, że w pobudkach czynów ludzkich ogromny udział bierze kłamstwo. Wszyscy ciągle oszukują się z interesu, nałogu lub konieczności. Kłamstwo czepia się niemal każdego ruchu myśli człowieka, miesza się z każdym jego oddechem, w wielu wypadkach i stosunkach stało się nawet obowiązkiem. W żadnym innym kierunku nie zużywa on tyle energji i nie zdobywa się na tyle pomysłowości, ile dla zasłonięcia swoich prawdziwych myśli i uczuć. Otóż rośliny odzwyczajają go od tego brzydkiego nałogu, zmuszają do szczerości i rzetelności. Można oszukać największego mędrca, ale nie można oszukać najskromniejszego kwiatka. Tamten zaufa zręcznemu łgarzowi i nie przeniknie jego obłudy, ten ją odrazu spostrzeże. Każda roślina mówi do człowieka: Postępuj ze mną uczciwie, nie usiłuj mnie okłamać, daj mi to, czego potrzebuję, a ja ci oddam rzetelnie, czego odemnie wymagasz. I jeżeli tylko jej nie przeszkodzą warunki zewnętrzne, obietnicy najściślej dotrzyma. Gdy wszystkie morały, zawstydzania i kary nie poprawią młodego łgarza, zróbcie go bodaj na pewien czas ogrodnikiem. Nauczy się mówienia prawdy.

Przestudjowałem sumiennie ważniejsze dzieła ogrodnicze w kilku językach, odbyłem praktykę, założyłem cztery obszerne sady, doglądam plantacyj przygotowawczych dla przyszłej szkoły ogrodniczej, którą Ministerjum Rolnictwa zobowiązało się wystawić, przyjmując od nas darowiznę i marzę o tem, co się nie spełni, o posiadaniu kawałka ziemi dla uprawiania na niej kwiatów, a zwłaszcza róż, których zebrałem 250 odmian (matek) a które mi wojna zniszczyła doszczętnie. Wszystko to przytaczam nie dla popisu, o który szczerze nie dbam, ale dla usprawiedliwienia się, że chociaż nie jestem specjalistą, tylko amatorem, mam jednak niejakie prawo przemówienia w przedmiocie, którym dziś zajmę uwagę czytelników. Zresztą skłania mnie do tego inna okoliczność. Gdy cenzorom rosyjskim wyrzucaliśmy, że nam nie pozwalają pisać o sprawach społecznych i politycznych, odpowiadali: Czy to panowie nie macie innych ważnych kwestyj? Przecie możecie zupełnie swobodnie rozprawiać o kolonizacji niemieckiej w Afryce, o wyprawie Nansena do bieguna północnego, o guanie, które stało się znakomitym środkiem nawozowym, o nowowynalezionej kartoflance, o gołębiach pocztowych, o kwiatach i wielu innych przedmiotach. Czasy przedwojenne wróciły, cenzura daje nam podobne rady, trzeba, bo wolno, pisać o różach bez obawy konfiskaty.

Świeżo wyszła w Piasecznie, w którem dotąd książki się nie rodziły, monografja B. Gałczyńskiego „Róże w ogrodzie jako najpiękniejsza i najekonomiczniejsza ozdoba, ich przeszłość, teraźniejszość i przyszłość“. Chociaż cała treść tej pracy jest bardzo ciekawa, chcę zwrócić uwagą czytelników na jeden jej szczegół, który ma znaczenie nietylko ogrodnicze, ale społeczne. Ktokolwiek porównywał pramatki roślin z ich potomstwem uszlachetnionem przez kulturę, musiał porównać ogrom wiedzy, pomysłowości, doświadczeń i trudów genjuszu ludzkiego, który ze skromnych płodów natury uczynił okazy wspaniałe, prawie nieprzypominające swych przodków. W tej dziedzinie, jak w sferze sztuki lub techniki, człowiek jest wielkim twórcą, a największym w państwie róż. Ażeby zmierzyć i ocenić tę olbrzymią jego twórczość, dość porównać różę indyjską, lub chińską, dziką galicyjską lnb polską „psią“ z przepięknemi herbatniemi, półherbatniemi, burbońskiemi, noasetami lub remontantami. A przytem zważyć trzeba, że tej „królowej kwiatów“ jest obecnie około 6000 odmian i ciągle przybywają nowe. W wytwarzaniu ich za pomocą krzyżowania pierwsze miejsce swemi triumfami i zasługami zajęli francuzi, po nich idą anglicy, niemcy i inne narody kulturalne, między któremi nie ma, niestety polaków. Bogactwo barw różanych jest dziś tak wielkie, że żaden język europejski nie posiada wyrazów, które mogłyby je obliczyć ściśle i każdy musi się posługiwać zlepkiem starych przymiotników — bardzo niedokładnym, zaledwie przybliżonym. W tej pracy stworzycielskiej, wymagającej nietylko talentu, nauki i wynalazczości, ale nadzwyczajnej cierpliwości, niektórzy hodowcy obok wawrzynów zdobyli powszechny szacunek. Szczególnym blaskiem jaśnieje postać francuza Pernata, który na trzech hektarach ziemi wyhodował kikadziesiąt pierwszorzędnych odmian róż i wytworzył nowe ich rasy. Gdy w ostatniej wojnie stracił dwóch synów, uczcił ich pamięć dwiema ślicznemi różami, którym nadał ich imiona, i osłabiony wiekiem, zmęczony trudem i pognębiony smutkiem, usunął się z pola swej płodnej i triumfującej pracy. Postać tak piękna, jak jej dzieła.

Niewielu zapewne czytelnikom wiadomo, że w krajach Europy zachodniej istnieją towarzystwa akcyjne dla hodowli paru gatunków kwiatów i liczne szklarnie dla jednej róży, że tam ona jest przedmiotem badań, doświadczeń, przemysłu i handlu. A my, jaki bierzemy udział w tym dziale kultury? Żaden. Widziałem w Paryżu begonie „Mickiewicz“, tu i owdzie w katalogach spotkać można róże, oznaczone nazwiskiem jakiegoś znakomitego Polaka, ale wszystko to są twory obce, ochrzczone popolsku z uprzejmości lub spekulacji i zwykle co pewien czas zmieniające swą nazwę. Zresztą w tej dziedzinie, jak w wielu innych, idziemy na szarym końcu albo pozostajemy bez miejsca. W tem właśnie tkwi przyczyna naszego upośledzenia śród innych narodów i naszej niemocy. Zadajmy sobie dwa pytania: czy Niemcy po tylu zbrodniach, po tylu gwałtach, po tylu krzywdach, jakie wyrządziły i zamierzają wyrządzić krajom, po którym przeszły ich mordercze i łupieżcze hordy, byłyby przedmiotem takich zabiegów, umizgów, ustępstw i usług politycznych, jakich doświadczają obecnie, gdyby nie stanowiły potęgi kulturalnej? A powtóre: czy Polska byłaby tak lekceważona, usuwana od udziału w ważnych układach międzynarodowych, gdyby była taką potęgą? Nie zastąpi tej potęgi najliczniejsza armja, popisy dyplomatyczne, gromada ministrów, ambasadorów, wszystkie aparaty rządowe, wszystkie blichtry okazałości państwowej. Świat nie ocenia wartości i siły narodu według jego rządu, ale według jego kultury. Pod tym względem Polska jest wogóle mało płodną a w wielu objawach zupełnie bezpłodną. Pamiętny traktat Szczepanowskiego, urągający pędowi „nędzarzów“ galicyjskich do posad biurowych i wykazujący, że wszystkie pensje urzędników nie wyrównywają dochodowi jednego wiel-

kopana angielskiego, nie stracił dotąd swej prawdy i wagi. Wszystkie instytucje rządowe i prywatne oblężone są przez tłumy kandydatów do wysiadywania krzeseł i czernienia papieru, podczas gdy obszerne pola pracy twórczej leżą odłogiem. Gdy inne narody robią odkrycia i wynalazki, pomnażają swoje bogactwa i środki sprawności, słowem, swoją kulturę, my gadamy i piszemy, biedujemy i ogłupiamy się w rozmaitych urzędach. Mamy ogromne lasy drzew użytkowych, na każdej miedzy chłopskiej rośnie dzika grusza a w każdej gęstwinie dzika róża, w niektórych okolicach — dzikie czereśnie lub jabłonie, a nasiona drzew i krzewów sprowadzamy z Niemiec. Nasi ogrodnicy starają się zakładać sady i szkółki, wogóle takie przedsiębiorstwa, które przynoszą najprędszy dochód przy najmniejszym trudzie, ale nie słyszymy, ażeby ktokolwiek z nich wziął udział we wszechświatowej pracy wytworzenia róż szlachetnych, wytrzymujących warunki surowego klimatu, które miałyby szczególną wartość dla naszego kraju. Poco zresztą sięgać tak wysoko! Gdyby ktokolwiek, kto daremnie stara się, czy o jakiś urzędzik czy o służbę, i nie wie, co z sobą począć, zajął się tylko hodowlą wysokich pieńków dzikiej róży jako podkładki szlachetnych, miałby z niej większy dochód, niż minister lub dyrektor departamentu, dałby krajowi cenny i poszukiwany produkt i nie potrzebował pokornie słuchać rozkazów postawionego nad nim dudka. Jak słusznie wykazał Szczepanowski, im więcej naród posiada obywateli niezależnych, tem jest potężniejszym. I właśnie dlatego, że ich posiadamy mało, może nas opanować, ujarzmić, sponiewierać, zgwałcić, ukrzywdzić każdy, kto ma zuchwałą odwagę i zdobędzie chwilową siłę. Przejmuje nas wstręt i zgroza, gdy pomyślimy, jak łatwo każdy samozwaniec może z nami zrobić, co mu się podoba. Bo za wielu mamy służalców i poddanych, za mało obywateli niezależnych. Gdy nam nie zgina karku ciemnota, zgina go strach przed utratą służby. Polska jest wolna, ale Polacy są ciągle niewolnikami.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

PRZYGODA UCZONEGO

ZNAM taki z życia wypadek: pewien, dziś nieżyjący, uczony polski, hebraista i przyjaciel Żydów, szedł sobie raz ulicą Gęsią (t. zw. „Genszegass") w Warszawie. Był on wtedy słabym fizycznie, małego wzrostu staruszkiem, ale duszą — młodzieńczą. Ubrany w staromodny cylinder, w odwiecznym płaszczu z peleryną, w okularach i z nieodłącznym parasolem pod pachą, uśmiechnięty dobrodusznie człapał po zabłoconym genszegaskim chodniku, „śpiesząc" w jakiejś sprawie, którą mu licho, zaprawdę, w tych stronach wyznaczyło.

W pewnej chwili z bramy wybiegł żydowski bachorek siedmioletni i z całym impetem wpadł z boku uczonemu pod nogi. Obaj przewrócili się w błoto. Chłopiec darł się w niebogłosy, uczony stękał boleśnie potłuczony. Wszystko to działo się w oczach gromady Żydów, która tu wystawała, handlując, szwargocąc i medytując. Przygoda — ludzka, ale nie ludzkie było jej zakończenie.

Żydzi gromadą rzucili się na uczonego, ledwie ten na kolana się uniósł, i z wrzaskiem szakalów przez dobrą minutę bili go, kopali, drapali, pluli nań i straszliwe charczeli przekleństwa. Jakiś zabłąkany tu „goj" wyrwał wreszcie staruszka z rąk rozjuszonej tłuszczy i uwiózł go dorożką.

Uczony ten — mój niegdyś dobry znajomy — lubił prowadzić ze mną spory na temat „narodu osobliwego". On bronił Żydów, ja objektywnie malowałem ich naczarno. Lubiliśmy obaj te rozmowy, bo były przyjazne i przeplatane humorem. Wiele z nich sam od specjalisty w hebraizmie korzystałem, ale w skrytości ducha pochlebiałem sobie, że i on czasem z moich uwag to i owo za słuszne przyznawał. Niestety, po genszegaskiej przygodzie, zaciął się i już do końca życia nie dał się na rozmowę o Żydach wyciągnąć. Mam wrażenie, że zbyt wiele na Genszegass się nauczył. Szkoda, że tak późno...

Analogiczna przygoda, ale nie w świecie fizycznym, spotkała świeżo profesora uniwersytetu warszawskiego, p. Tadeusza Zielińskiego. Kto jest Zieliński, tego nie mam potrzeby czytelnikom wyłuszczać. W szeregu prac z zakresu kultury grecko-rzymskiej wydał niedawno „Hellenizm a judaizm". Rzecz wielkiej erudycji, jasnej budowy, godnej bezstronności i syntetycznych oświetleń. Praca, którą się czyta nietylko z szacunkiem dla niej samej, lecz i dla osoby jej autora. Na nieszczęście licho podszepnęło autorowi, by w książce tak od naszych czasów dalekiej wstąpił na Genszegass z ukłonami i wersalskiemi do Żydów gestami. Tu z bramy „Wiadomości literackich" wypadł na niego jakiś bachorek, podbił mu nogi i Żydzi profesora pobili. A jak to było opowiem.

Tematem wymienionej pracy p. Zielińskiego jest porównawcze zestawienie hellenizmu z judaizmem w historycznej dobie ich zetknięcia się w świecie starożytnym. Wszystkim wiadomo, że w porównaniu takiem im bezstronniejszy jest autor, tem gorzej na tem wychodzi judaizm. A ponieważ autor doprowadził bezstronność swoją na sam podniebny szczyt możliwości ludzkiej, więc w pracy jego judaizm otrzymał swoje przyrodzone rysy ohydnej maszkary, a hellenizm — uczciwe oblicze ludzkie.

Znając Żydów, po przeczytaniu książki p. Zielińskiego przewidziałem zgóry, że już za tę jedną bezstronność Żydzi zapłacą autorowi na sposób... genszegaski. Lecz p. Zieliński popełnił jeszcze jedną, powiedzmy: nieostrożność. Ośmielił się tu i ówdzie po przytoczeniu tych i owych faktów scharakteryzować je w terminach ścisłych, trafnych, ale moralnych. Więc n. p. gdy przytacza znane fałszowanie przez Żydów i fabrykowanie wierszy i ustępów słynnych poetów i prozaików greckich, mające udowodnić ich zależność od Mojżesza, nazywa je „kłamstwem, świadomem i bezczelnem". Albo mówi, że rola judaizmu w powstaniu eschatologji katolickiej nie była „chlubna". I w tym rodzaju jeszcze w kilku miejscach książki.

To dość, aby histerję żydowską doprowadzić do wrzasku, o jakim mają pojęcie tylko psychjatrzy, ordynujący w domach dla obłąkanych. Lecz p. Zieliński popełnił jeszcze jedną, najgorszą nieostrożność. Przeczuwając zapewne złe przez Żydów przyjęcie swej pracy, wybrał się na Genszegass z ukłonami, tłumaczeniami, zapewnieniami swej lojalności, ba! nawet hołdu swego dla „wielkości proroków Izraela"... I to go zgubiło. Trzeba zaprawdę, być dobrodusznym, jak sprawiedliwy, prawdą żyjący uczony polski, żeby nie przewidzieć matematycznie pewnego wyniku takiej wizyty.

Już we wstępie czytamy podziękowanie autora dla zarządu bibljoteki synagogalnej na Tłomackiem i taką uwagę: „Sądzę, że mój przyjazny stosunek do owej pięknej synagogi i jej szlachetnych, humanitarnych tendencyj dawał mi prawo korzystania z tego libera-

lizmu", (liberalizmem autor nazywa tu pozwolenie, otrzymane na korzystanie z bibljoteki synagogi) „i byłoby mi bardzo przykro, gdyby treść niniejszej książki wywołała ujemny wpływ na stosunek do mnie jej przedstawicieli. Spodziewam się jednak, że tego nie będzie".

W ciągu swej pracy, nie poprzestając na rzeczowości i tonie spokojnym, autor, gdzie może, wyraźnie zastrzega się przed „bezsensownem" pytaniem, czy jest, czy nie jest antysemitą, dobiera słów najłagodniejszych tam, gdzie określenie ścisłe mogłoby dotknąć drażliwość żydowską, a w paru miejscach wprost mówi: „Wiem bardzo dobrze, że jeżeli rozważyć postępowanie narodów w przeszłości — i niestety, także w teraźniejszości — to nie znajdzie się między nimi ani jednego, któryby nie mógł zastosować do siebie modlitwy celnika: Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu!"

A gdzieindziej: „Podkreślam raz jeszcze, że nie chodzi mi tu wcale o moralne potępienie tych i wielu innych okrucieństw, które plamią dzieje Izraela: nie miałoby to żadnego związku z treścią i celem tej książki, i oprócz tego już powiedziałem, że nie uznaję prawa żadnego narodu do rzucania z tego powodu w Izraela kamieniem. Chodzi o to, że te okrucieństwa przypisane są Bogu, że Bóg przez te bluźniercze świadectwa został strącony z tego tronu, z którego jedynie, jako najwyższy przedstawiciel idei dobra, miał prawo rządzić dążącym ku udoskonaleniu światem" i t. d.

Ażeby zaś nie było nigdzie ani cienia wątpliwości co do chronologicznego zakresu tematu, p. Zieliński we wstępie poświęca osobny paragraf, w którym objaśnia podział historji Żydów na trzy okresy—izraelski, judejski i żydowski, zaznacza, że w jego pracy mowa jest tylko o dawno minionym okresie judejskim, że zatem uwagi autora nie dotyczą Żydów teraźniejszości i tak te zastrzeżenia kończy: „Będę więc mówił o judaiźmie i Judejczykach; ponieważ Judejczyków śród nas niema, łatwiej uwierzą czytelnicy, że chodzi nam o sprawy dalekiej przeszłości, co do których już dawno zapadł wyrok historji".

Rzecz prosta, że wszystkie te grzeczności i zastrzeżenia swoista kultura duszy żydowskiej oceniła jako słabość i lęk uczonego, a stąd wyprowadziła swoiście żydowski wniosek, że można bezpiecznie dać mu genszegaską nauczkę. I oto w № 40 żydowskich „Wiadomości literackich" (2 października r. b.) pojawia się o pracy p. Zielińskiego, artykuł p. t. „Nieprawidłowości proceduralne w sądzie nad judaizmem". Jak widzimy autor artykułu już w tytule stracił przytomność, pracę bowiem objektywizmu naukowego i historji ocenia z punktu widzenia adwokackiego.

Artykuł po adwokacku skierowany jest (we wstępie) jakoby przeciw p. Wienieckiemu, który kiedyś w „Wiad. Liter." umieścił pochwalną recenzję pracy p. Zielińskiego, zakończoną wnioskiem, że „antysemici mogą już wyznawać chrześcijaństwo odsemityzowane". Widocznie p. Wieniewski był bezwiednie owym bachorkiem, który wypadł z bramy „Wiad. Lit." i podbił profesorowi nogi. Teraz zaczyna się prawidłowa i bezpieczna lekcja genszegaska.

Artykuł wychodzi z założenia, że p. Zieliński, jako hellenista „w procesie, który wszczął przeciwko judaizmowi, powinien być uważany za świadka uprzedzonego". Nie przeszkadza mto jednak, że w dalszym bezpośrednio ciągu autor arty ułu nietylko uznaje sąd p. Z. o judaizmie za słuszny, ale go jeszcze z własnego popędu własnemi słowami zaostrza. Zaczyna, mianowicie, swoje w tem miejscu dowodzenie od słów: „Samo zestawienie judaizmu z hellenizmem jest okrutne", a kończy je słowami: „Zestawiać judaizm akurat z hellenizmem—to dosłownie to samo, co zestawiać dzisiejszych Lapończyków z Francją".

Czytelnik przeciera tu oczy. Więc jakże to? P. Zieliński jest świadkiem „uprzedzonym", a jednocześnie autor artykułu daje własne świadectwo, który oskarża judaizm daleko ciężej i ostrzej, niż p. Zieliński... Gdzież jest więc „uprzedzenie" p. Zielińskiego? Napróżno będziemy o to pytali, tu już bowiem „Wiadomości literackie", jak owa genszegaska Żydów gromada, mają tylko pianę na wargach i własny wrzask w uszach.

Artykuł jednak robi tu woltę, skręca w bok i powiada, że nie wolno „zestawiać" judaizmu z hellenizmem: „akurat z hellenizmem". Aha! Więc o to „akurat" chodzi artykułowi. Tak to wygląda, jakby adwokat protestował przeciw „okrutnemu" zestawieniu oszusta akurat z człowiekiem uczciwym. Oszusta powinno się porównywać tylko z oszustem... Przedziwna obrona judaizmu! Przyznajmy jednak, że jedynie możliwa.

Autor artykułu przytacza różne dzikie obyczaje, obrzędy i poglądy różnych ówczesnych religij i twierdzi, że p. Zieliński powinien był wziąć je wszystkie, razem z judaizmem, do kupy i dopiero tę kupę miałby prawo porównać z hellenizmem. No! to rozumiemy... W tej kupie bowiem judaizm tak się schowa, że mu cieplej „na ławie oskarżonych" będzie. Odwieczna taktyka żydowska! Mówi się do Żyda: „Ukradłeś", a „sprytny człowiek rozproszenia" nie zaprzecza, tylko wrzeszczy ze złością: „Co jest!? Mój wujaszek także ukradł i moje czocze także ukradło!" Logika plazmatyzmu.

W pracy swej p. Zieliński porównywa judaizm z hellenizmem nie jako dwie religje dowolnie z pośród innych wybrane, ale jako te, które bezpośrednio weszły do chrześcijaństwa, o ten bowiem węzeł chrześcijaństwa chodzi uczonemu z założenia jego pracy. W węźle tym sama historja narzuciła uczonemu te dwie, a nie jakiekolwiek inne religje. Artykuł „Wiadomości" udaje, że tego nie widzi, więc woła, że możnaby także „pisać rozprawy o persyzmie i z niego wywodzić chrześcijaństwo". Stąd wniosek milczący, że p. Zieliński dlatego obrał do zestawienia te a nie inne religje, żeby jaknajboleśniej dokończyć judaizmowi. *Histeria iudaica!..* a raczej, według słów Schopenhauera — *fetor iudaicus*.

Artykuł „Wiadomości literackich" nadział się, naturalnie, erudycją, od której poważnie napęczniał. To konieczne dla wrażenia. Cała jednak ta erudycja bez wyjątku zmierza do wolt karcianych, które wyżej odkryłem i do postawienia p. Zielińskiego w stan oskarżonego o niesłuszne oskarżenie judaizmu.

Artykuł kończy się następującym morałem, zwróconym niby do bachorka, p. Wieniewskiego: „Książce prof. Zielińskiego należy się rzeczowa, fachowa krytyka, a nie kadzidło. Dzieło to jest z jednej strony produktem wielkiej erudycji, a z drugiej — pewnego sentymentu i specjalnych warunków naszego życia zbiorowego, które nie sprzyjają, niestety, nauce nie oglądającej się ani na lewo, ani na prawo. Dowolność zestawień i argumentacji — to grube uchybienia w procedurze sądu nad czemkolwiek i kimkolwiek. Wyraża się tu nie objektywizm nauki, ale sentyment. Pan Wieniewski, niestety, nic nie ocenił i nic nie poddał krytyce. Uważa wszystko za dowiedzione, cieszy się, że chrześcijaństwo zostało odstarotestamentowane i wyraża swój *consensus pietatis*. To mało".

Bachorek dostał dla pozoru wymówkę, dla oczu i uszu naiwnych, w rzeczywistości zaś był odskocznią dla zaperzonego „krytyka fachowego". Także znana

z jarmarków taktyka żydowskich faktorów. Po tej „fachowej krytyce" posypią się z tej samej strony inne w tym samym rodzaju. I p. Zieliński będzie dla pewnej publiczności zasypany (w podwójnem tego słowa znaczeniu).

Mój biedny staruszek hebraista zapóźno otrzymał lekcję genszegaską. Nie mam zaszczytu znać osobiście p. Zielińskiego, znając jednak jego prace, żywię nadzieję, że on nie zapóźno swoją lekcję życiową otrzymał. Przedewszystkiem — nie z oddalenia dwóch tysięcy lat, ale na własnej skórze odczuł, jak to „sprytni ludzie rozproszenia" fałszują teksty nauki i sztuki. A następnie — porzuci ukłony w stronę synagog i ich okolic.

„Wiadomości literackie" są organem plutokracji i inteligencji żydowskiej. Fałszując jasne zamiary i założenia uczonego, oczerniając z taką złośliwością jego najczystsze pobudki i cele, Żydzi wystawiają sobie — nie poraz pierwszy zresztą — świadectwo, że nie należą do ludów cywilizowanych i sami dopraszają się, aby ich traktowano zgóry, z odrazą i pogardą.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

PRZEGLĄD POLITYCZNY

„Brońmy szkoły polskiej!"—Na Litwie.—W Małopolsce Wschodniej i na Wołyniu.—Aresztowania we Lwowie.—Gorączka i jej przyczyna.

„BROŃMY szkoły polskiej" — oto hasło, które rozlega się dziś w całej Polsce, jak długa i szeroka. Wydawało się, że w Polsce niepodległej, umiejącej zmusić do liczenia się z nią swych sąsiadów, takie troski należeć już będą do przeszłości.

Z rozporządzenia rządu litewskiego zamknięto szereg szkół polskich na Litwie, a trzydziestu zgórą nauczycieli-Polaków pozbawiono nietylko prawa nauczania, ale nawet wolności osobistej, zamykając ich w obozie koncentracyjnym w Warniach. „Rząd Waldemarasa" — piszą internowani w odezwie, którą udało się przesłać potajemnie do Wilna — żądał od nas... nas nauczania w obcym, niezrozumiałym dla dzieci i dla nas języku... Wołamy wielkim głosem do braci naszych z za kordonu: Pomóżcie nam, ujmijcie się za nami, nie pozwólcie, aby nas katowano i męczono za polską szkołę, za polski język, za polską tradycję". Rząd polski zarządził, w charakterze odwetu, rewizje i aresztowania wśród działaczy litewskich w Polsce, jak również zamknięcie szeregu litewskich szkół.

Z rozporządzenia p. ministra oświaty Dobruckiego niektóre szkoły polskie w Małopolsce Wschodniej i na Wołyniu zamieniane są na szkoły utrakwistyczne, polsko-ruskie, w innych wprowadzana jest obowiązkowa nauka języka ruskiego. Wywołuje to jednomyślny protest wśród miejscowych Polaków, do którego niejednokrotnie przyłączają się i mniejszości narodowe: Rosjanie, Rusini, Żydzi. Oto jak opisuje „Warszawianka" protest Haliczan przeciwko pozbawieniu miasta polskiej szkoły:

> „udała się... do wojewody stanisławowskiego p. Korsaka deputacja, w ktorej skład weszli: burmistrz Halicza p. Siwecki i probosz z Marjampola ks. Bosak... oraz przedstawiciele Rusinów, Żydów i Karaimów".

Żyd, Karaim (sekta wyznawców czystego Starego Testamentu) i Rusin kolejno zabierali głos, domagając się utrzymania polskiej szkoły. Następnie

> „Burmistrz p. Siwecki oświadczył: jako przedstawiciel ludności polskiej, żądam od Rządu Polskiego tylko tego, co mieliśmy pod rządami austryjackiemi, t. j. szkoły polskiej, którą mieliśmy tutaj zawsze.
>
> Wymawiając te słowa, burmistrz Halicza p. Siwecki zalał się łzami.
>
> Wówczas wzruszenie udzieliło się nietylko innym członkom delegacji, ale także p. wojewodzie Korsakowi, który uścisnął tylko rękę p. Siweckiego, następnie wszystkich członków delegacji, i głosem zdławionym, ze łzami w oczach rzekł tylko tyle:
>
> — Przedstawię to wszystko w Warszawie".

W Równem odbyło się wielkie zebranie obywatelskie, na którem uchwalono jednomyślnie „nie ustąpić w obronie polskości szkolnictwa polskiego na Wołyniu i użyć wszelkich legalnych środków przeciw tym zarządzeniom, pomni polskiej krwi, przelanej w walce o przynależność Wołynia do Polski"... W Łucku wielkie zebranie rodzicielskie jednomyślnie uchwaliło przedstawić władzom żądanie

> „Cofnięcia rozporządzenia obowiązkowego nauczania języka ukraińskiego w szkołach państwowych, a w razie nieotrzymania odpowiedzi w przeciągu dni dziesięciu, rodzice zostawiają sobie wolną rękę w wyrażeniu swego protestu przeciwko wprowadzeniu polityki na teren szkolny".

„Jeżeli środki legalne nie pomogą — oświadczył wśród oklasków na sali czcigodny ks. szambelan Baranowski — to należy użyć broni ostatecznej, jaką jest strajk".

W całej Polsce zbierane są ofiary na prywatne szkoły polskie na kresach.

We Lwowie policja przeprowadziła rewizje w lokalach Obozu Wielkiej Polski, Zw. Ludowo-Narodowego oraz u szeregu miejscowych działaczy narodowych, organizatorów ostatniej wielkiej manifestacji przeciwko językowi ruskiemu w szkole, dr. Arnolda, dr. Bertoniego i prof. Blaikego. Nic obciążającego nie znaleziono. Tegoż dnia w mieszkaniu p. Podlewskiej aresztowano grupę akademików pod zarzutem rozpowszechniania znanej „ulotki" o gen. Zagórskim. Ogromna energja, jaką natychmiast rozwinęły władze bezpieczeństwa przy wyszukiwaniu osób, rozpowszechniających „ulotkę", nader korzystnie odbija od braku jakichkolwiek rezultatów, jeżeli chodzi o wyjaśnienie samej tajemnicy zaginięcia gen. Zagórskiego. Trudno jednak powstrzymać się od uwagi, że wyświetlenie tej drugiej tajemnicy o wiele radykalniej uspokoiłoby podniecenie opinji, usuwając rzeczywistą jego przyczynę, nie zaś jeden z objawów. Gdyby był wyjaśniona tajemnica, nie byłoby „ulotki". Jeżeli istotnie opinja społeczeństwa jest „rozgorączkowana", nie wystarczą ani zimne okłady ani zbicie termometru: trzeba umieć wyleczyć samą chorobę, która gorączkę powoduje.

J. R.

NAUKA I LITERATURA

JAROSLAV VRCHLICKY A POLACY

PIĘTNAŚCIE lat mija właśnie, jak zgasł Jaroslav Vrchlicky największy poeta Czech. Dziś, gdy coraz silniej i z obu stron podkreśla się łączność kulturalną polsko-czeską, na czasie będzie również przypomnieć, jak wiele nici łączy czeskiego genjusza z narodem i kulturą polską.

Młody Emil Frida — tak bowiem brzmiało nazwisko właściwe poety, urodzonego w r. 1853 — wcześnie już zapoznał się z arcydziełami naszej poezji. Mając lat dwadzieścia parę, znał już dobrze Mickiewicza i Słowackiego, skoro mógł n. p. pisać do brata swego[1]) o poetce francuskiej Georges Sand w r. 1875: „Widać, że czytała pilnie Fausta i Wallenroda albo Dziady", lub też, w tymże roku: „Nie wiem, dlaczego myślę wciąż o Juljuszu Słowackim. Zdaje mi się, że przybliżyłem się najbardziej do tego eterycznego ducha, przed którym korzę się zawsze, jako przed ideałem najczyst-

[1]) Listy te ogłosił brat poety Bedrich Frida w czasopiśmie *„Zvon"*, r. 1913.

szej poezji". Znajomość i kult naszych wielkich poetów znalazła swe odbicie później w całym szeregu utworów Vrchlickiego, który kult ten zachował aż do swej śmierci (9 września 1912 r.)

Stosunkiem Vrchlickiego do naszego narodu zajmuje się między innemi syntetyczna rozprawa J. Boreckiego: „*Jaroslav Vrchlicky' a jeho pomer k slovanstvi*" (J. V. i jego stosunek do słowiańszyzny), wydrukowana w XV tomie (r. 1912/13) miesięcznika praskiego „*Slovansky Prehled*". Borecky określa tam (str. 68) następująco stosunek Vrchlickiego do Polski i Polaków: „Polacy byli sercu Vrchlickiego z pośród wszystkich Słowian najbliżsi. Może dlatego, że on, wychowanek kultury romańskiej, wyczuwał bliskość kulturalną u nich, połączonych tylokrotnemi związkami z duchem i literaturą francuską. Jedyne wpływy słowiańskie, które można wykazać w poezji Vrchlickiego, są to wpływy polskie... Pośród Polaków znalazł Vrchlicky swoich pierwszych zagranicznych czcicieli. Nie tylko to, swoich tłumaczy, wydawców, przyjaciół (zwłaszcza Bronisław Grabowski). Kiedy w r. 1882 odwiedził Paryż, entuzjastycznie witała go głównie kolonja polska. Vrchlicky, jak wiemy, mało podróżował, ale kilkakrotnie był w Krakowie, także we Lwowie wziął udział w uroczystościach ku czci Mickiewicza. W ogromnej liczbie przekładów Vrchlickiego z języków romańskich, z angielskiego i niemieckiego, giną jego przekłady z języków słowiańskich. Ale wśród nich na pierwszym miejscu znów jest przekład z polskiej literatury: przekład „Dziadów" Mickiewicza pod tytułem *Tryzna*[2]), tłumaczenie pod każdym względem kongenjalne".

Vrchlicky wziął udział w ankiecie „Krytyki" krakowskiej na temat „Sprawa polska w opinji Europy" (1899—1900). Poeta, podkreślając, iż nie jest politykiem, pominął stronę polityczną tematu, szeroko rozwiódł się natomiast o kulturze i cywilizacji polskiej, wyrażając się o niej z entuzjazmem. Podniósł misję cywilizacyjną Polski, jako czynnika pośredniczącego między zachodem i wschodem Europy. Ostro wystąpił przeciwko gnębicielom Polski, przepowiadając jej końcowe zwycięstwo.

Dwa razy tylko w swem życiu wystąpił Vrchlicky z enuncjacją o charakterze politycznym. Raz w sprawie powszechnego prawa wyborczego w Austrji (1906), po raz drugi zaś w r. 1809, biorąc udział w ankiecie zorganizowanej przez Sienkiewicza w sprawie pruskiej ustawy wywłaszającej Polaków w Poznańskiem („*Prusse et Pologne. Enquête internationale organisé par Henryk Sienkiewicz*". *Paris 1909*). Oto słowa Vrchlickiego; „*Je voudrais bien savoir ce que diraient d'une loi pareille projetée en Allemagne Herder et Goethe. Et ce qui m'étonne, c'est qu'une nation de poètes et de penseurs ait pu faire bon accueil á un projet de loi si brutale, foulant cyniquement aux pieds les sentiment et la morale. Cette loi déchirera d'un coup toutes les declamations allemandes sur la supériorité de la culture germanique, sur les aspirations germaniques vers la lumière et l'idéal, sur la culture et la prépandérance prussiene actuelle*".

W ogromnie bogatej, 65 tomów w zbiorowem wydaniu liczącej twórczości poetyckiej Vrchlickiego znajdujemy znaczną ilość utworów dotyczących Polski[3]). Najwięcej stosunkowo jest utworów w ten lub inny sposób łączących się z Mickiewiczem, co tłumaczy się szczególnym kultem, jaki miał Vrchlicky dla autora „Dziadów". Mickiewiczowi poświęcił Vrchlicky imiennie sześć utworów: sonet „Mickiewicz" w zbiorze „Wrażenia i kaprysy" (1880), dwa tak samo zatytułowane sonety w zbiorze „Sonety samotnika" (1885), „Mickiewicz w Santa Croce" w zbiorze „Nowe fragmenty epopei" (1895). „W czasie przekładania Dziadów Mickiewicza" w zbiorze „Ostatnie sonety samotnika" (1896) i „Krakowowi sławiącemu Adama Mickiewicza" w zbiorze „Przekroczon zenit" (1898). Wszystkie te utwory zawierają najgorętsze wyrazy hołdu, miłości, czci i podziwu dla potęgi myśli, uczucia i patrjotyzmu Mickiewicza. Takiż hołd złożył mu Vrchlicky w swym odczycie[4]). Wspomniany już zbiór „Wspomnienia i kaprysy" zawiera również dwa sonety poświęcone Słowackiemu i Krasińskiemu. W pierwszym wielbi Vrchlicky potęgę i szerokość skali uczuć, w drugim ogrom serca i ducha proroczego.

Motyw polski wykazuje „faustiada" Vrchlickiego, dłuższy epiczno-dramatyczny poemat „Twardowski" (1881). Jest tam wyraźny wpływ polskiego podania ludowego o szlachcicu - czarnoksiężniku, „Pani Twardowskiej", „Nieboskiej", w końcu i powieści Kraszewskiego „Mistrz Twardowski". T. St. Grabowski w studjum swem „Romantyzm polski wśród Słowian"[5]) pisze (str. 21), że Twardowskiego pojął Vrchlicky „zupełnie na sposób Mickiewicza i pod silnym pozostaje wpływem".

Godne uwagi są dwa wiersze Vrchlickiego, podkreślające potrzebę współpracy polsko-czeskiej. Są to utwory: „Polakom w Paryżu", (zbiór „Co żywot dał" 1883) i „Cep i kosa" („Sielskie balady" 1886). W pierwszym z tych utworów znajdujemy następującą zwrotkę: (Vrchlicky przepowiada, że)

„poety nas wiara nie okłamie,
ni wieść, którą on śpiewał o nadziei,
że z Czechem Lech jest tym, kto pęta łamie
i światłość nosi w ludów epopei"[6])

Drugi z tych utworów „Cep i kosa" wskazuje na konieczność wspólnego zwalczania wspólnych wrogów — kończy się następująco:

„Cep i kosa—Czech i Polak
w tańcu przewspaniałym!
Ach, te chwasty kłamstwa, zdrady
skośmy i wyklepmy!"

Chwilowem zwątpieniem co do losów Polski odznacza się pesymistyczny utwór Vrchlickiego „Polsce roku 1886" (zbiór „Dziedzictwo Tantala" 1887). Wiara w zwycięstwo sprawiedliwości powraca jednak w przepięknej wizji przed obrazem Styki „Polonia", uwiecznionej w utworze nazwanym również „Polonia" (zbiór „Nowe fragmenty epopei"). Vrchlicky widzi nową Polskę zwycięską:

„Dziś macierz-światłych głów i dzielnych ramion,
braci swych oraz pokój miłująca,
nie zniszczona, lecz silniejsza swą męką".

Przepowiada, że „spełni się wszystko, co w chwili świętej tworzenia — pragnęły widzieć naszych wieszczów duchy".

Osobne miejsce należy się historycznemu dramatowi „Książęta" (1903). Mówi tam Vrchlicky o strąceniu Bolesława Rudego z tronu czeskiego przez Chrobrego (1003), nie występuje jednak ostro przeciwko polskiemu władcy, owszem podkreśla jego słowiańskie idee stawienia czoła Niemcom.

Dodać należy w końcu, że Vrchlicky utrzymywał żywe i serdeczne stosunki przyjaźni z wielu Polakami, m. in. z Asnykiem, Miriamem-Przemyckim, W. Gasztowtem, także i z Konopnicką, która przełożyła kilka jego utworów.

HENRYK BATOWSKI

---

[2]) *Tryzna* znaczy właściwie „stypa". Przekład ten wyszedł drukiem w Pradze 1895 r. nakładem księgarni J. Otty, w zbiorze „*Sbornik svetove poesie*" jako jego tom 41.

[3]) Z powodu braku czcionek czeskich, będę cytował tytuły utworów w przekładzie polskim.

[4]) P. t. „Adam Mickiewicz" w czasopiśmie *Nova Ceska Revue I.* (1904), zesz. 1.

[5]) Zbiór „Poprzez Słowiańszczyznę" II. Lwów 1910.

[6]) W przekładzie d o s ł o w n y m rymy przypadkowo zgadzają się.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

W tych dniach ukaże się w handlu księgarskim książka Zygmunta Wasilewskiego p. t. „Wspomnienia o Janie Kasprowiczu i Stefanie Żeromskim“. Wyjdzie nakładem Gebethnera i Wolffa.

*

Znany krytyk literacki Zdzisław Dębicki wydaje u Gebethnera i Wolffa zbiór szkiców p. t. „Rozmowy o literaturze“. Niedawno—przypominamy—wyszły tegoż autora „Portrety“, cieszące się wielką poczytnością.

*

Twórca „Don Juana“ i „Farysa“ Stanisław Miłaszewski wykończa obecnie dwa dzieła dramatyczne. Wiemy z pogłosek, że jednem z tych dzieł będzie „Don Kiszot“ (według Cerwantesa); drugiem ma być komedja współczesna p.t. „Bal w obłokach“. Świat literacki i teatralny oczekuje tych utworów z zainteresowaniem.

*

Pod pseudonimem Witolda Tarczy jedna z zasłużonych działaczek wydała książkę p. t. „Myśli współczesne“ (Turek. Drukarnia Sejmikowa 1927 r. str. 166). Troska o Polskę nasuwa w czasie obecnego zamętu pojęć szereg obaw i rozważań. W zbiorze artykułów pod tytułami: Kościół a polityka, Rodzina i naród, Religja i rozum, Opinja i sprawiedliwość wypowiada autorka wiele dobrych myśli, a dla nadziei w lepszą przyszłość czerpie otuchę ze wspomnień o bohaterskiej przeszłości narodu.

*

Wspominaliśmy już poprzednio o nowych przekładach z literatury czeskiej wydanych w „Bibljotece Słowiańskiej“ u Hoesicka w Warszawie. Liczba tych przekładów wzrasta żwolna i inne wydawnictwa postanowiły sięgnąć do skarbów pobratymczego piśmiennictwa. Ostatnio ukazały się w tłumaczeniu polskiem dwie powieści Juljusza Zeyera, największego obok Vrchlickiego i Czecha poety czeskiego, znakomitego twórcy również w prozie. W „Bibljotece Domu Polskiego“ ukazał się (jak jej tom 7-y) „Dom pod tonącą gwiazdą“ w przekładzie Stelli Olgierd. Jest to powieść poprostu piękna, malująca konflikty na tle narodowem i religijnem narodu czeskiego. Przekład uznany jest za bardzo poprawny. Druga z przełożonych powieści jest to przekład Marji Bunikiewiczowej słynnej powieści Zeyera „Andrzej Czernyszew“, opisującej czasy Katarzyny II, powieści o podkładzie subtelnie erotycznym. Oczywiście, że nam Polakom nie trafia do przekonania wyidealizowanie postaci Katarzyny, niemniej jednak powieść czyta się z niesłabnącem zajęciem i wydawnictwo „Bibljoteki Dzieł Wyborowych“ dobrze zrobiło, dając ją polskiej publiczności. Obie powieści opatrzone są krótką przedmową o życiu i twórczości Zeyera przez prof. B. Vydrę.

*

Cennym przyczynkiem do historji Kościoła w Polsce jest książka księdza Stanisława Janickiego, z przedmową ks. Jana Cieplaka, arcybiskupa, pod tytułem „Polski Kościół i Dom św. Stanisława w Rzymie“. Na ruinach epoki z czasów rzymskich wznosi się tu kościół, który w roku 1575 papież Grzegorz XIII, na prośbę biskupa warmińskiego i kardynała Stanisława Hozjusza przeznaczył na odprawianie w nim nabożeństw przez księży Polaków. Później następca Hozjusza zbudował obok schronisko dla pielgrzymów z Polski, w czasie ich pobytu w Rzymie. Monografja zawiera, prócz wyczerpującej historji, ilustracje obrazów, rzeźb i tablic przyozdabiających wnętrze kościoła. Szereg wieków przebywały w nim rzesze pątników. Pociechy religijnej szukali znakomici mężowie polscy, Mickiewicz, Krasiński, w naszych czasach Sienkiewicz i Paderewski. Książkę wydano w Rzymie, odbito w Szkole Typograficznej imienia Papieża Piusa X-go.

*

Niezależny dwutygodnik wojskowy „Szaniec“ w Nr. 7-ym zawiera artykuły: „Nasze stanowisko“, studjum „O wojnie dla mężów stanu i obywateli“, gen. Kulińskiego „Przysposobienie narodu na czas wojny w Polsce“, pułkownika S. G. w st. sp. Arciszewskiego uwagi o wyprawie kijowskiej, majora S. G. Romeyki rozważania o naszem lotnictwie komunikacyjnem, rezerwowy „Oficer na ćwiczeniach“, oraz Leszczyca „Bojowe wyszkolenie w Rosji sowieckiej“. W kronice zagadka zniknięcia gen. Zagórskiego i zmiany personalne w wojsku. Doskonale dobrane są wiadomości o wojskach cudzoziemskich.

Bardzo pożyteczna jest inicjatywa „Szańca“ otworzenia korespondencyjnego kursu taktyki dla oficerów rezerwy. Kurs taki ułatwi oficerom rezerwy znajomość wszystkich wymagań współczesnej wojny i boju oraz utrzyma ich w gotowości dowodzenia podstawowemi jednostkami broni.

U SŁOWIAN

W połowie r. 1927 dopiero zakończyło wydawnictwo sofijskiej „Bibljoteki Słowiańskiej“ jej rocznik VI 1926. Jako tom 3—4 razem wyszła tam popularna rozprawa I. Ł. Majakowskiego p. t. „Co zrobiła Rosja dla słowiańszczyzny w przeszłości?“ Książeczkę tę wydano w rocznicę wojny 1877 — 78 jako dowód, że naród bułgarski chowa należytą wdzięczność dla Rosji za oswobodzenie z pod jarzma tureckiego. Treść książeczki jaskrawo wykazuje, że w pojęciu autora, który zresztą sam jest Rosjaninem, „Sławianie“ to tylko prawosławni. Mowa jest tam wyłącznie o stosunkach Rosji ze Słowianami bałkańskimi, parę słów i o Czechach. Coprawda trudno byłoby pisać, co zrobiła słowianofilska Rosja dla Polski, to też autor pominął tę kwestję milczeniem. Wydane tego rodzaju dzieło jest owszem aktem dużej kurtuazji bułgarskiej względem emigracji rosyjskiej. Jednakowoż tłumaczyć wojny rosyjsko-tureckie wyłącznie „słowianofilstwem“ trudno. Nie chcemy poczucia łączności z Serbami i Bułgarami odmawiać Rosjanom w r. 1828 czy 1877, ale wiemy, że imperjalizm rządu w tej kwestji miał głos — może przeważający nawet.

*

Literatura bułgarska otrzymuje wzorową piękną chrestomatję wydawaną pod redakcją historyka literatury B. Angelowa. Z wydania tego dotychczas ukazał się tom I, poświęcony poezji ludowej (*Istorja na balgarsketa literatura v primieri i biliografja Tom I. Balgarska narodna poezija.* Godny uwagi jest wstęp krytyczny prof. Angelowa, stwierdzający łączność folkloru bułgarskiego z folklorem ludów sąsiednich. Cenna jest charakterystyka poszczególnych działów liryki ludowej, związanej często z wierzeniami religijnemi, głównie zaś będącej właśnie bogatem źródłem do badań dawnych zwyczajów ludowych. Obok pieśni lirycznych zawiera I tom dzieła prof. Angelowa: pieśni epiczne, klechdy, przysłowia i zagadki oraz kalendarz ludowy. Niebawem mają się ukazać dwa dalsze tomy dzieła, poświęcone literaturze staro i nowo-bułgarskiej.

*

Ukazał się II tom za rok bieżący włoskiego czasopisma slawistycznego *Rivista di litterature slave,* które redaguje znany uczony p. Ettore Lo Gatto. Numer ten zawiera dwa polonika: studjum G. Elzenberga o W. Berencie i J. Gromskiej o Krasińskim. Trzy studja poświęcone są literaturze czeskiej, dwa rosyjskiej, jedno zaś znakomitemu dramaturgowi słoweńskiemu Żupanczizowi. Pismo to przyczynia się nadzwyczajnie do propagandy literatury słowiańskiej we Włoszech, zaś red. Lo Gatto jest znanym polonofilem i zawsze wiele miejsca poświęca na łamach swego pisma sprawom polskim.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

„Le Christ dans la Banlieue“ (Plon édit.) to niezmiernie ciekawa pod każdym względem książka księdza Piotra Lhande, który przez z górą dwa i pół lat przeprowadzał ankietę na temat życia religijnego w środowiskach robotników, zamieszkujących przedmieścia Paryża. Książka ta, zaopatrzona szeregiem fotografij, jest lekturą interesującą i wysoce pouczającą. Ksiądz-dziennikarz dał nam bowiem barwny obraz tego specjalnego życia przedmieść, na które patrzał nietylko okiem reportera, ale przedewszystkiem misjonarza. Utwór też jego nosi na sobie piętno posłannictwa, do którego zresztą pragnie i swego czytelnika nakłonić.

*

Paweł Claudel, obecny Ambasador Francji w Ameryce, a który był nim poprzednio w Japonji, pracuje nad nowym utworem *„L'Oiseau Noir“*, mającym być szerokiem studjum życia japońskiego oraz zawierać szereg osobistych wspomnień autora z jego długiego pobytu w stolicy Japonji.

*

Przewrót, jaki dokonał się w Rosji, dostarczył już całemu szeregowi francuskich pisarzy ciekawego tematu do powieści. Dzisiaj z kolei p. Abel Hermant, znany powieściopisarz, poświęca ostatnią swą powieść p. t. *„Epaves“* (Férenczi édit.) awanturom arystokratów rosyjskich w Konstantynopolu i przygodom pięknej hrabiny Fedosi, która poślubia holenderskiego bankiera. Za jego pieniądze uciekną wszyscy do Paryża, gdzie kosmopolityczny Montmartre ugości te *„Epaves“* arystokratyczne. Powieść to bardzo barwna obyczajowo, charaktery żywo nakreślone, umysłowość rosyjska trafnie uchwycona, a jeżeli autor nie odnosi się do swych bohaterów ze zbyt wielką sympatją, ani litością, to dziwić się temu nie będą ci wszyscy, którzy całe zastępy podobnych nieciekawych typów mieli możność spotkać na paryskim bruku.

*

W *„Le meilleur de sa Vie“* (Crès édit.) p. Gabriel-Joseph Gros kreśli historję życia młodej nauczycielki, która z miłości wychodzi za mąż za mało poważnego człowieka, trochę

bohême, a przedewszystkiem nie posiadającego ani silnych uczuć, ani też silnej woli. Na tle tego konfliktu natur, z których jedna wszystko kładzie na ostatnią kartę, a druga, pozbawiona skrupułów, sieje nawet nieświadomie dookoła siebie dramaty, autor zbudował ciekawą współczesną powieść obyczajową, której akcja toczy się w Lyonie i jego okolicach.

*

„*Mrs. Mason's daughters*" — taki tytuł nosi powieść pani Matyldy Eiker, wydana świeżo w jednej ze spółek wydawniczych Londynu. Autorka zaznajamia nas w niej z dziejami trzech córek pani Mason. Najmłodsza z nich — Bernadotte porzuca w czasie wojny dom męża i łączy się z człowiekiem, którego pokochała. Ponieważ pozycja finansowa obojga nie jest świetna, zapobiegliwa Bernadotte zakłada „*tea-room*", który w krótkim czasie zdobywa sobie powodzenie, rozszerza się i staje się nader modnym lokalem. Druga z sióstr — Paulina, złamana zawodem miłosnym wstępuje do klasztoru katolickiego. Najstarsza — Fernanda, zagrożona staropanieństwem oddaje się czas jakiś dla zabicia nudy i zapełnienia pustki dziełom miłosierdzia, a niebawem ulega dla zadowolenia zmysłów mężczyźnie, który porzuca ją przed urodzeniem się dziecka. Fernanda pragnie przenieść swą miłość na dziecko, lecz gdy ono objawiać zaczyna z biegiem lat rozmaite cechy odziedziczone po ojcu, czuje doń nienawiść. Najobszerniej potraktowane są dzieje Fernandy i ona to jest właściwą bohaterką utworu. Psychologja trzech kobiet oddana została umiejętnie i z taktem.

TEATR

„KRÓL AGIS" SŁOWACKIEGO

W OKRESIE tworzenia „Króla Agisa" (1844) Słowacki pisał do matki: „Teraz Ci powiem, droga moja, że ja sobie żadnego z moich utworów teraźniejszych wytłómaczyć nie mogę. Nie wiem bowiem, skąd przychodzą i dokąd idą". Trudno mieć za złe wydawcom pism pośmiertnych, a zwłaszcza kierownikom scen polskich, że nie chcieli wmawiać sobie więcej obowiązku rozumienia tych utworów, niż go miał autor. Słowacki miał kilka dramatów dobrych, nadających się na scenę, ale te pisał w czasach, kiedy go obowiązywała świadomość artystyczna. Pod koniec Słowacki oddawał się teozofji, z której czerpał wiarę, że jako poeta jest instrumentem obcych duchów (po ludziach już zmarłych), które nawiedzają żyjących. A gdy taki duch obejmie w posiadanie poetę, wtedy on tylko „przelewa" go, nie biorąc za niego odpowiedzialności. „Jak szalony piszę prędko — wyznawał Słowacki matce — aby jaknajwięcej ducha wylało się ze mnie... I lękam się odczytać słów napisanych, bez ładu bowiem i z przeładowaniem być muszą".

Dla czego to się dzieje, że właśnie te improwizacje „bez ładu i przeładowane" tak nęcą teraz dyrektorów teatrów warszawskich? Na sprowadzenie zwłok poety zagrano w Warszawie „Samuela Zborowskiego", przedtem dano „Sen srebrny Salomei". Nosi to pozory wielkiego znawstwa poezji; i łatwo je wmówić, gdy ludzie się wstydzą przyznać, że nie rozumieją.

Namaszczenie, z którem kierownicy teatrów wprowadzają utwory tylko dla tego, że są trudne do zrozumienia i odczucia, daje pojęcie o sadyzmie władców egipskich, znęcających się nad tłumem swoją przewagą wiedzy tajemnej, którą mieli w monopolu. Z podobnych stosunków wziął temat Andersen do swojej bajki wschodniej o szacie królewskiej, którą wszyscy podziwiali głośno, bo nikt nie miał odwagi wyznać, że szaty tej niema wcale.

Tego rodzaju psychologja jest niedobra. Szerzy się w ten sposób snobizm, a rujnuje teatr. Dwa zadania leżą przed kierownikami teatru: 1) mieć publiczność i 2) z niej działaniem sztuki wydobyć podstawy psychiczne życia teatru. Na jakiemś duchowem obcowaniu musi się oprzeć teatr; jednostronny stosunek, polegający na tereryzowaniu widza wiedzą tajemną dyrekcji, jest satysfakcją sadystyczną.

„Król Agis" jest poufnym dokumentem ówczesnego stanu duszy poetyckiej, poruszonej widokami nauki teozoficznej i mającej wrażenie, że ją nawiedziła dusza grecką po Królu Agisie. Słowacki sam uznał rzecz za niedociągniętą i porzucił ją. Do jakiego stopnia pozostał ten szkic utworu niejasny, mamy dowód w tem, że wydawcy dotąd sklejali go w różnoraki sposób i dopiero teraz prof. Kleiner (najbardziej biegły z biegłych w piśmie) sceny poustawiał, że się jakoś wiążą z sobą. Dyrekcja teatru zdawała sobie z tego sprawę, skoro poleciła rozdać widzom broszurę literacką, wyjaśniającą treść widowiska tak, jak się to robi dla symfonji lub w operze, śpiewanej przez cudzoziemców. Fakt, że ta broszura była potrzebna, uwłacza w wysokim stopniu poezji dramatycznej. Przecież słowo poety jest od tego, żeby mówiło, a gdy nie mówi ze sceny, to wystawienie utworu uwłacza teatrowi. Słuchacz ma być przecież nie z antraktów mądry.

Przy sposobności teatralnego zdarzenia można wyprowadzić uwagę ogólniejszą, że dzisiejsze czasy przypominają to, co się działo w umysłowości naszej sto lat temu. Romantyzm ówczesny bynajmniej nie zrzekł się klasycyzmu (*vide* Mickiewicz), ale walczył z pseudoklasycyzmem. Nowe życie obecnie w wolnej Polsce walczyć musi tak samo, ale już z pseudo-romantyzmem. Wypierać go trzeba tak samo i z życia ze sztuki, aby sobie zrobić miejsce dla nowych wysiłków twórczych, związanych z dzisiejszą rzeczywistością psychiczną. Odsyłam interesujących się tą żywotną kwestją do artykułu wstępnego, tu tylko powtórzę, że w sztuce tak samo, jak w życiu realnem, odczuwać się daje potrzeba „przewietrzenia kultury", jak pisze Koniński. Czyste powietrze daje ludziom prawda.

Pojęcia prawdy nie trzeba brać mistycznie, ona się zaczyna — tuż; wystarcza rozsądek. Dyrekcja wiedziała zgóry, że „Król Agis" nie jest dla szerszej publiczności, że wystawienie będzie kosztowne i zwiększy deficyt teatru, jednem słowem, że dokonywa wysiłku bez celu, nawet ze szkodą. Otóż to jest pseudo romantyzm — niejasne zdawanie sobie sprawy z celu, dla którego poświęca się wielkie środki, a przytem brak poczucia ducha czasu. Dzisiaj umysł polski nie może się przejmować zaburzeniami ideowemi romantyzmu, zwłaszcza z okresu, kiedy dogorywał, jak płomień gasnący, w ostatnich wybuchach genjuszu Słowackiego. Kochanie się w czadzie spalonych już uczuć jest pseudo-duchowością. Nam potrzeba prawdy, powrotu do natury rzeczy, do własnych poczynań życia. Niech będą rzeczy prostsze, ale prawdziwe dla nas dzisiejszych. Prawdy, prawdy—domaga się życie we wszystkich dziedzinach.

Cóż mówić o „Królu Agisie"? Inna jest na to dziedzina—mianowicie studjum historyczno-literackiego. Nie potrzeba na to pośrednictwa teatru. Uniwersytety raczej mogą próbować seminaryjnie, jak to brzmi wokalnie. Teatr Narodowy ma środki odpowiednie, żeby stronę zewnętrzną i wykonanie postawić na wyżynie należytej. Wszystko, co może dekoracja zrobić i sztuka aktorska, wykonano w stopniu doskonałym.

Słuchając „Agisa", myślano o Wyspiańskim, który stąd powziął koncepcję rozgradzania wieków dla żywej tradycji. Mechaniczną metempsychozę Wyspiański zastąpił życiem tradycji. I tem „Króla Agisa" przekreślił.

Z. W.

DLACZEGO INSCENIZACJĘ T. ZW. „SAMUELA ZBOROWSKIEGO" NALEŻY UZNAĆ ZA NIEFORTUNNĄ

JAKKOLWIEK już minęło parę miesięcy od uroczystości Słowackiego, kiedy to p. p. Horzyca i Szyfman wystawili w Teatrze Polskim w Warszawie ostatni chronologicznie twór dramatyczny Słowackiego, przezwany bezzasadnie przez Małeckiego

„Samuelem Zborowskim", to jednak, przewidując możliwość powrotu tej tragedji na scenę, godzi się zwrócić uwagę na pewne kwestje, związane z jej inscenizacją, których, o ile wiem, w prasie dotychczas nie omówiono.

Aby wyrobić sobie pojęcie o tym utworze, trzeba przedewszystkiem pamiętać, że rzecz to nie wykończona i przez poetę poniechana, pisana wtedy, gdy mistyczna filozofja autora dopiero się formowała. Mamy więc stąd w omawianej tragedji całe mnóstwo niekonsekwencyj, które jednak przy inscenizacji należy zatuszować, oraz szereg niedomówień, które na scenie trzeba albo usunąć, albo też wyjaśnić za pomocą umiejętnego wykorzystania warjantów. Dzieło to jest wreszcie przeładowane poetycką retoryką, pełną aluzyj, często niejasnych nawet dla czytelnika, cóż dopiero dla widza w teatrze, tembardziej więc należy uwypuklać momenty dramatyczne, których w tekście nie brak.

Jednem z takich nieporozumień, o którem stale trzeba pamiętać, lecz którego bodaj niepodobna usunąć, jest, jakeśmy mówili, tytuł „Samuel Zborowski", dezorjentujący widza przez skupienie jego uwagi na postaci wielkiego banity, wbrew wyraźnym intencjom autora. Nawiasem mówiąc, tytuł utworu wogóle, to kwestja nader ciekawa i zasługująca na osobne omówienie. Bywają, prawda, tytuły bezbarwne, które nic nie mówią, jak n. p. u Żeromskiego: „Uroda życia", „Zamieć", „Walka z szatanem", „Nawracanie Judasza"... Jednak przeważnie tytuł, zgodnie ze swem przeznaczeniem, wskazuje na tę postać czy zagadnienie, o które przedewszystkiem autorowi chodzi. Otóż w omawianym „dramacie apokaliptycznym" Słowackiego Zborowski nie jest nawet... postacią epizodyczną, jest cieniem tylko, jeno „p r e t e k s t e m", „z n a k i e m", przez który najłatwiej chciał się Słowacki z czytelnikami porozumieć" (T. Dąbrowski, „Krytyka" 1906). „Od początku do końca jest to tylko S y m b o l" (Tenże, „Pamiętn. Liter.", 1906). Przypomnijmy, iż n. p. takim samym symbolem jest dla Słowackiego — Kossakowski w „X. Marku". Oni obydwaj — to Polska szlachecka, nie taka, jaką ją malował „Przedświt" (a przecież repliką na ten utwór jest dramat Słowackiego!), lecz właśnie że pełna win, właśnie że bliska Lucyferowi, bo wśród ludów, które, wszystkie bez wyjątku, rodzą się z ducha Amfitryty, co jest „bez serca, bez lica, bez miłości, okropna żywotna martwica", które wszystkie „z a j a d ł e m ciągle łażą chciwe", — j e d y n a P o l s k a miała cel duchowy i twórczy, ideał postępowy: dążenie do takiej formy państwa, gdzieby nie było przymusu. (Prelekcje Mickiewicza r. III, 25). Nic to, że ideału tego Polska nie wcieliła w życie (i tu znowu znamienna różnica pojęć z „Przedświtem"), nic też, że realizowała go koszlawo; o n a j e d n a g o w i d z i a ł a p r z e d s o b ą i dążyła doń, jak ją na to stać było. A jeśli w tem dążeniu schodziła na manowce, to za winą tych, co jak Zamoyski, zapatrzeni we wzory obce (porównaj listy Słowackiego do Czartoryskiego), wykrzywiali naturalną drogę dziejową Polski, wiodącą ją do Jerozolimy Słonecznej.

Więc nie o historycznego Samuela poecie chodzi, lecz poprostu o Szlachetczyznę, a w dalszej projekcji o Polskę. Dlatego to Słowacki nazywa Zborowskiego „hułanem" (wyd. Hahna, str. 367) i znów „ułanem o krwawych wyłogach" (w. 1988), mówi o jego „twarzy schorowanej męką" (w. 2071) i tak się doń zwraca:

„Jaki ty blady! jak się ty odmienił!...
Jaki on teraz wynędzniały, suchy." (w. 2066--7).

Jasna więc rzecz, że tu Słowacki mówi o narodzie polskim:

„Gdym go zobaczył, to już był w koronie
Męczeńskiej... (w. 2093 — 4)
Patrzę: przedemną leży jak Pan Jezus,
Zda się, że śpiąca woskowa pokora,
I jakiś człowiek wielki, ale cichy...
Powietrze było przy nim całe święte"... (w. 2112 — 6).

Czy to wszystko może odnosić się do osoby Zborowskiego? Oczywiście — nie, jest to bowiem obraz umarłego narodu.

Otóż tę zasadniczą ideę utworu należało uprzystępnić widzom przez odpowiedni komentarz drukowany, który winien był być rozdany przed przedstawieniem. Tymczasem nawet bodaj śród krytyków teatralnych niewielu zdawało sobie sprawę, że widzą przed sobą misterjum o Polsce, nie zaś apoteozę jakiegoś tam awanturnika i warchoła.

W ścisłym związku z tem pozostaje kwestja, dotycząca już bezpośrednio inscenizacji tego dramatu, czy też raczej poematu. Oglądając „Zborowskiego" na scenie, doznałem przykrego zawodu, gdy wielki monolog Adwokata wygłaszał — Lucyfer, Prawda, że w akcie IV-ym Bukary i Lucyfer — to jedna osoba; prawda też, że w rękopisie dwukrotnie zanotowano, że obrony Polski (formalnie Samuela) podejmuje się tenże Bukary, jednak już za tem występuje „Ja", a potem już do końca poprostu „Adwokat". Pamiętając tedy, że utworu swego poeta nie wykończył, musimy dojść do jedynie słusznego przekonania, że Adwokat — to sam Słowacki (patrz o tem szczegółowo w monografji Kleinera t. V, str. 86 — 90). Pomysł zaś p.p. Horzycy i Szyfmana zidentyfikowania Lucyfera i Adwokata — dezorjentuje widza najzupełniej. Lucyfer — toć przecie „jeden z duchów obłąkanej i odwróconej od Boga natury", duch „zły", „płodzący złe", Iskarjota, wróg sprawy Bożej, powstrzymujący przyjście Królestwa Bożego na ziemię (w. 693), nie chcący dopuścić, aby t r z e c i a gwiazda, słoneczność, zabłysła na czole Heljany obok dwu innych, oznaczających nieśmiertelność i wszechmocność (p. wiersz „w braterstwie idei" do L. Norwida). Tymczasem Adwokat — to człowiek (w. 1617, 1983, 2536) Polak-mesjanista, (w. 1603, 1884, 1935, 2581 i *passim*) poeta (w. 1886, 2544-5, str. 375, w. 19; str. 366, w. 22), chrześcijanin wreszcie, korzący się przed Chrystusem i wyśpiewujący na Jego cześć przepiękny hymn (patrz zwłaszcza str. 363). Czyż może tedy kto wątpić, że Adwokat — to sam Słowacki? Pisze to zresztą on sam wyraźnie w komentarzu do swego apokaliptycznego misterjum. (Lamus, III): „Nie mogę Wam lepiej zakończyć tej rozmowy, wykazującej P o l s k ę b r o n i o n ą przed Aniołami, jak samą obronę tej sprawy, którą c z y n i ł e m w duchu przed aniołami... o t o b o w i e m z d a w a ł o m i s i ę, ż e s t o j ę p r z e d t r o n e m C h r y s t u s a".

Z tych rozumowań wynika tedy chyba, że podobnie jak w „Dziadach" postać Konrada wzorujemy na Mickiewiczu, tak też w inscenizacji „Zborowskiego" winniśmy charakteryzować Adwokata — na Słowackiego. I jakkolwiek inscenizacja Teatru Polskiego jest lepsza, niż omawiana kiedyś przezemnie transkrypcja sceniczna Jellenty („Parodja Słowackiego" — „Gaz. Warsz." 1925, № 60), to jednak i ona nie może być nazwana inscenizacją udatną.

Wobec tego teraz ma głos p. Stanisław Wyrzykowski, który już dawno złożył dyrekcji Teatru Narodowego swego pomysłu inscenizację tego misterjum, które — bez żadnej dobrej racji — nazywamy „Samuelem Zborowskim".

STANISŁAW CYWIŃSKI

SZTUKI PLASTYCZNE

WYSTAWA SZTUKI CZESKOSŁOWACKIEJ

PRZED pół rokiem, zdając sprawę z urządzonej wówczas w „Zachęcie" wystawy sztuki węgierskiej, wyraziłem na tem miejscu nadzieję, że „wkrótce już ujrzymy w Polsce wystawy sztuki czeskosłowackiej, jugosłowiańskiej, rumuńskiej". Tak się zdarzyło, że istotnie po sześciu zaledwie miesiącach w tych samych salach, gdzie znalazły chwilową gościnę dzieła Munkácsych i Szinelch, dziś oglądamy wystawę sztuki czeskosłowackiej. Porównanie narzuca się samo przez się: wypada ono, można to stwierdzić odrazu, na korzyść sztuki czeskosłowackiej, zasobniejszej w talenty, oryginalniejszej, bujniejszej. Szlachetny liryzm, rasowe poczucie dekoracyjności, które tak pięknie wyraziło się w pradawnych strojach ludowych, nadaje i dziś odrębny charakter sztuce czeskosłowackiej, aczkolwiek w ostatnich latach urok „nowoczesności" sprowadza niektórych artystów na niebezpieczną dla twórczości narodowej drogę. Wierzmy, iż jest to zjawisko chwilowe.

Twórczość artystyczna czeskosłowacka jest nietylko bogatsza, bardziej interesująca, niż węgierska; jest nam jednocześnie o wiele bliższa. Słusznie stwierdza autor przedmowy do katalogu wystawy, dr. V. V. Stech, „silny wpływ, jaki wywierała sztuka polska na sztukę czeską w pierwszych czasach jej rozwoju". Istotnie, gdy spoglądamy n. p. na „Jeźdźca polskiego", malowanego przez jednego z twórców nowoczesnej sztuki czeskiej, Mikołaja Alesa, to ten obraz naszej rycerskiej przeszłości jest dla widza polskiego równie bliski, równie zrozumiały, jakgdyby był dziełem Polaka. I nie chodzi tu tylko o zewnętrzną polskość tematu: bliski i zrozumiały jest dla nas także szlachetny sentyment Mánesa, a wytworne nastrojowe dzieła Preislera doskonale znalezćby się mogły n. p. na wystawie krakowskiej „Sztuki" przed laty kilkunastu.

Krótka notatka o wystawie, tak ze wszech miar zasługującej na dokładniejsze omówienie, jak wystawa sztuki czeskosłowackiej, z konieczności musi stać się przypadkowem nieco wyliczeniem kilku nazwisk, bez pretensyj do głębszego i bardziej wyczerpującego ujęcia przedmiotu. Obok więc powyżej wymienionych malarzy, wspomnieć trzeba pejzażystów takich, jak Marak, Chitussi, Ant. Slavicek, z późniejszych zaś pełen blasku kolorysta Kalvoda („Nad przepaścią Macocha"), Hudecek, Rada. Jako portrecista zwraca uwagę sumienny M. Svabinsky. Zanotować też należy obrazy takie, jak „Restauracja w ogrodzie" St. Leleka i piękny „Odpust w Lazihote" J. Uprki. Niektórzy z wymienionych artystów (Svabinsky, Rada) zaznaczyli się też w dziale grafiki.

W rozwoju nowoczesnej sztuki czeskosłowackiej znaczenie rzeźby jest przynajmniej równie doniosłe, jak znaczenie malarstwa. Na wystawie warszawskiej widzieć można kilka prac najsławniejszego rzeźbiarza czeskiego XIX stulecia, Józefa Myslbeka, między innemi świetne studjum konia do praskiego pomnika św. Wacława. Wielkie wrażenie wywołuje znakomita w ruchu i w wyrazie, patetyczna rzeźba J. Stursy „Raniony". Przedwcześnie zmarły Gutfreund był rzeźbiarzem o dużych możliwościach: jego melancholijno-groteskowe terrakoty niewątpliwie są dziełem godnem uwagi. Silny, męski talent wykazują dwie rzeźby J. Laudy: „Portret arch. J. Gocara" i „Garncarz".

W dziale architektury chęć dostosowania się do „międzynarodowej" mody nie dopuszcza do należytego rozwoju własnej, narodowej twórczości. Jedynie Jurkowic w swych „Cmentarzach wojskowych" nawiązuje do stylu rodzimego, niezawsze zresztą szczęśliwie przenosząc formy architektury drzewnej do budownictwa kamiennego.

W dziale tkanin wystawiono jedynie cztery gobeliny Fr. Kyseli. Przynoszą one prawdziwy zaszczyt artyście oraz warsztatom tkackim, w których były wykonane.

K. L.

NA MARGINESIE

Żeby znaleźć „złoty środek" w przykrej sprawie, „Czas" wymyślił takie stanowisko: „Sprawa gen. Zagórskiego jest rzeczą poważną i bolesną, jest nieszczęściem Polski. Fakt, że rząd w tej sprawie milczy, jest nad wyraz niepokojący. Ale nie wolno z tej sprawy niebezpiecznej kuć broni partyjnej. Nie wolno jej komplikować ogłaszaniem fałszowanych rewelacyj zohydzających ludzi za Polskę na zewnątrz opowiedzialnych i reprezentujących ją wobec własnego społeczeństwa, wobec ludu, wojska, młodzieży". „Czas" ma na myśli znaną ulotkę w tej sprawie. Uwierzyłby jej, gdyby nie wiedział zgóry, że jest „fałszowana" i „partyjna". Ale czyż sam nie „kuje broni partyjnej", skoro ogłasza, że się „niepokoi, iż rząd w tej sprawie milczy" i że sprawa jest „nieszczęściem Polski". Pomawiać rząd o obojętność na „nieszczęście Polski" to atak partyjny. Właściwsze byłoby stanowisko półurzędowego „Głosu Prawdy", że sprawa jest błahostką.

*

Nescio, cur boni viri semper tardiores sint, powiada Cycero, zapewne mając na myśli prof. Marjana Zdziechowskiego. Zacny ten mąż bowiem, jeden z twórców „legendy Piłsudskiego", dziś dopiero zaczyna otwierać oczy na bezpośrednie konsekwencje tej legendy. Prócz znanego listu do p. Prezydnta Rzeczypospolitej w sprawie zaginięcia gen. Zagórskiego, wydał oto świeżo prof. Z. broszurę p. t. „Sprawa sumienia polskiego", gdzie staje w obronie więzionych do niedawna na Antokolu generałów. Podziwiając cywilną odwagę profesora, cnotę tak rzadką w Polsce, która to odwaga każe mu przynajmniej częściowo przyznać się do błędu zbytniego zaufania w dobrą wolę niektórych polskich potentatów, musimy jednocześnie życzyć prof. Z., by corychlej przejrzał na oba oczy, albowiem *qui nocet, noceat adhuc; et qui in sordibus est, sordeseat adhuc; et qui iustus est, iustificetur adhuc; et sanctus - sanctificetur adhuc" (Apocal Joan. XXII, II.*

*

Subsydjowane czasopismo propagandowe „*Pologne Litteraire*", którego kierownictwo powierzono redaktorowi „Wiadomości Literackich" p. Grycendlerowi, coraz wyraźniej staje się pismem przeznaczonem specjalnie dla publiczności... niemieckiej. W ostatnim numerze (Nr. 11—12), pierwsze dwie strony (poza przekładem włoskim niedługiego wiersza p. Tuwima) poświęcone zostały wyłącznie artykułom w języku niemieckim. Na dwóch stronicach następnych zamieszczono wyniki niezbyt zresztą interesującej ankiety na temat, co pisarze zagraniczni sądzą o „*Pologne Litteraire*". Liczba odpowiedzi w języku niemieckim jest większa, niż we wszystkich innych językach razem. Dopiero na dwóch ostatnich stronach, gdzie wiele miejsca zajmują ilustracje i ogłoszenia, pojawiają się artykuły w języku francuskim.

Jest zagadnieniem wogóle nadającem się do dyskusji celowość wydatku na propagandę literatury polskiej właśnie w Niemczech. Oczywiście, jeśli celem jest interes materjalny pisarza, staje się rzeczą obojętną, czy dzieła jego będą znane i tłumaczone w Rzymie, Paryżu czy w Berlinie. Jeśli jednak nie o honorarjum chodzi, ale o korzyść narodową, wynikającą z promieniowania polskiej kultury, wówczas stokroć większe znaczenie, niż Berlin, będą miały nietylko Paryż, ale choćby Praga lub Bukareszt.

Jeżeli zaś tam wpływ ma być zdobyty, przewaga niemczyzny nie wydaje się najlepszym systemem...

*

Z powodu ostatniej polemiki między p. Grubińskim, występującym w obronie warszawskiego repertuaru dramatycznego, i nie zgadzającym się z nim doktorem polonistyki, Tad. Świątkiem, udającym „speca" od klasyków, warto przypomnieć znakomity kawał Boya-Żeleńskiego, którego ofiarą padł p. Świątek, drukując w redagowanych przez siebie „Maskach" — podsunięte mu wyjątki „Króla Ducha" Słowackiego—jako nieznane, z drogocennych familijnych zbiorów Żeleńskich wydobyte, wiersze Wyspiańskiego.

Oto ich początek (por. „Maski" nr. 34, 1918, str. 675):

„Ja brat śpiewak znowu do was przychodzę,
A po drodze wstąpiłem do chat i wiosek
Z pieśnią — każdy mię kłosek zna i każda mogiła" i t. d.

Jak się pokazuje wielkiego „Brata-Śpiewaka" nietylko nie zna „każdy kłosek", ale nawet dramaturgowie teatru jego imienia.

SPROSTOWANIE BŁĘDU

W Nr. 21 „Myśli Narodowej" na str. 390 w pierwszym utworze M. Wolskiej w 5 w. od końca powinno być: „słodziej". W pewnej części nakładu, wskutek poprawki technicznej już podczas druku, zakradło się tam „z".

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 11-90.
WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 6, rocznie zł. 24, za granicą kwart. zł.9. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.
Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI
Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM